



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

6

2016

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZY I GRAFICZNY

str. 22

PAKISTAN

GOŚĆ W KRAJU
WIELKICH DOMÓW

str. 32

NORWEGIA

BRAMA DO FIORDÓW

str. 54

SUDAN PŁD.

JAK ZOSTAŁEM MKUBWĄ



RUSZ NA RUGIĘ!

NIEMCY

str. 14



PTAKI TATR
STR. 100

OMAN STR. 40

W CIENIU MINARETÓW

BUŁGARIA STR. 64

FIOLETOWA SIELANKA

WENEZUELA STR. 94

CO SIĘ CZAI W LOS LLANOS

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



917700321614605 06



#HomeOf

Fethiye, Turcja

HOME OF ÖLÜDENİZ

ÖLÜDENİZ

Najczęściej wymieniane wśród najlepszych plaż na świecie Ölüdeniz, to miejsce, gdzie Matka Natura pokazała, na co ją stać. Turkusowe wody, błękitna laguna, soczysta zieleń gór i złote plaże... Można by się zastanawiać, czy widoki mogłoby być jeszcze piękniejsze. Oczywiście, że tak! Jednak żeby je zobaczyć, trzeba lubić wyzwania. Paralotniarze mówią, że Ölüdeniz wygląda jeszcze bardziej oszałamiająco z wysokości ponad 6500 stóp.

Odkryj Turcję, home of Ölüdeniz.

Bądź naszym gościem!



BIURO RADCY DS. KULTURY I INFORMACJI AMBASADY TURCJI
www.turcja.org.pl

Ministerstwo Kultury i Turystyki Republiki Tureckiej



PAKISTAN str. 22



NORWEGIA str. 32



WENEZUELA str. 94



BULGARIA str. 64



USA str. 80

W NUMERZE...

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

NIEMCY str. 14
Przyroda Rugii przyciąga
spragnionych odpoczynku
i szukających natchnienia.
Bartosz Król

PAKISTAN str. 22
Czy kobieta może zwiedzać
ten kraj samotnie?
Renata Matusiak

NORWEGIA str. 32
Brama do fiordów.
Mikołaj Gospodarek

OMAN str. 40
W cieniu minaretów.
Marek Pindral

GEOSKOP str. 48

SUDAN POŁUDNIOWY str. 54
Wyjazd za pracą do
najmłodszego kraju świata.
Tadeusz Nagalski

PODRÓŻNOŚCI str. 62
Ministerstwo
głupich podróży.
Felieton **Magdaleny
Żelazowskiej**

BULGARIA str. 64
Koło Wielkiego Tyrnowa
założyła swój dom polska
rodzina.
Paulina Hinz

NAVIGATOR str. 70

POZNAJ ZWYCZAJ str. 74
Corpus Cristi w Cuzco.
Maria Giedz

USA str. 80
Blaski i cienie Hollywoodu.
Magdalena Urbańska

POLSKA str. 88
Pojezierze Tarnobrzeskie
to zupełnie nowa kraina
geograficzna.
Marcin Piasek

WENEZUELA str. 94
Co się czai w Los Llanos.
Tony Kososki

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
TATRY str. 100
Skrzydłaci
mieszkańcy Tatr.

**POZNAJ ŚWIAT
OD KUCHNI** str. 108

Z PERSPEKTYWY str. 110
Polskie podróże po
arabskie konie.
Felieton **Ryszarda
Badowskiego**

OUTDOOR str. 114

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 120



NA OKŁADCE:
łódź rybacka
z wioski Baabe
na wyspie Rugia

Katarzyna Załużna

POLSKA

Ślimak, ślimak, pokaż rogi

Fotografia została wykonana późną wiosną przy zachodzącym słońcu. Efekt kółeczek (bokeh) został uzyskany dzięki fotografowaniu obiektu pod światło przy niskiej wartości przysłony (f/1.8). Obiektyw, który nadał impresyjny charakter fotografii, to popularny Pentacon.

Ślimaki o tej porze roku niechętnie wystawiają czułki, są wrażliwe na wiatr i chłodne powietrze, ale ten ze zdjęcia był wyjątkowo otwarty na współpracę. Aby obudzić mięczaka, wystarczy zrosić go wodą. Jest wtedy najbardziej aktywny, ponieważ wilgoć ułatwia mu pobieranie pokarmu. W Polsce żyje około 200 gatunków ślimaków wodnych i lądowych. Są polifagiczne, czyli wielożerne. Odżywiają się roślinnością, mięsem oraz padliną, a także grzybami jadalnymi i trującymi. Jesienią przestają przyjmować pokarm, szukają schronienia, po czym zapadają w hibernację, która trwać może nawet do 6 miesięcy, a wiosenną porą budzą się i cieszą fotografów natury swoim widokiem.

www.facebook.com/

[katarzynazaluznafotografia](https://www.facebook.com/katarzynazaluznafotografia)





Ogniskowa: 52mm · Ekspozycja: F/5, 1/640 sek · ISO 100

Wyznacza nowe standardy dla obiektywów zmiennoogniskowych.

16-300mm

F/3.5-6.3 Di II VC PZD MACRO

Pierwszy na świecie obiektyw szerokokątny MegaZoom 16mm z 18.8x zoom.

Przeżyj wspaniałe możliwości twórcze dzięki zaawansowanej technologii optycznej.

- Zakres ogniskowych od 16 do 300mm
- Funkcja macro przy minimalnej odległości od obiektu- 39cm
- Mechanizm autofocusa PZD (Piezo Drive) dla szybszej i cichej pracy
- Stabilizacja obrazu (VC) dla ostrych obrazów przy słabym świetle
- Łatwe ręczne ustawianie ostrości
- Konstrukcja odporna na wilgoć

Dostępne mocowania: Canon, Nikon oraz Sony*

* Obiektywy z mocowaniem Sony nie posiadają systemu stabilizacji (16-300mm F3.5-6.3 Di II PZD Macro)

Pierwszy na świecie
18.8x
Zoom



Nagrodzony przez 17
czołowych europejskich
dziennikarzy branżowych



Zarejestruj się na:
www.5years.tamron.eu

 Odwiedź nas na Facebooku i zostań fanem firmy Tamron!

www.tamron.pl
www.foto-technika.pl

TAMRON
New eyes for industry

Zbigniew Wikłacz

MAROKO

Pies z głową w dół

Zdjęcie zostało wykonane w portowym miasteczku As-Sawira, oddalonym o 170 km od Marakeszu. Słynie ono z urokliwej starej zabudowy, pięknej plaży i świeżych owoców morza. W czasie porannego spaceru autorowi zdjęcia w kadr wszedł młody pies, który po chwili rozpoczął poranne ćwiczenia od najbardziej znanej pozycji jogi – „psa z głową w dół”.

KADR ROKU
2015

FUNDACJA
KADRY ZE ŚWIATA

Zdjęcie pochodzi z galerii Fundacji KADRY ZE ŚWIATA. Można je kupić i pomóc spełnić podróżnicze marzenia dzieci. Szczegóły na WWW.KADRYZESWIATA.PL



THULE
SWEDEN

➤ Everything you need and
nothing you don't



New



Plecak Thule Stir 20L

Wszechstronny plecak z łatwo dostępnymi kieszeniami i możliwością uporządkowania zawartości, dzięki którym idealnie nadaje się na szlak i do miasta.

Bring your life
thule.com



Andriej Gudkow, Rosja

PARK NARODOWY KOMODO, WYSPA RINCA, INDONEZJA

Judo na Komodo

Warany z Komodo są największymi jaszczurkami na świecie, ważą do 150 kg. Mają potężne szpony i ostre zęby oraz zewnętrzną warstwę łusek wzmocnionych małutkimi kostkami pełniącymi rolę naturalnej kolczugi. Aby się mocować, stają na tylne nogi. W tym wypadku powodem walki była sprzeczka o terytorium.

KATEGORIA: PŁAZY I GADY
SEKCJA: RÓŻNORODNOŚĆ ZIEMI
FINALISTA

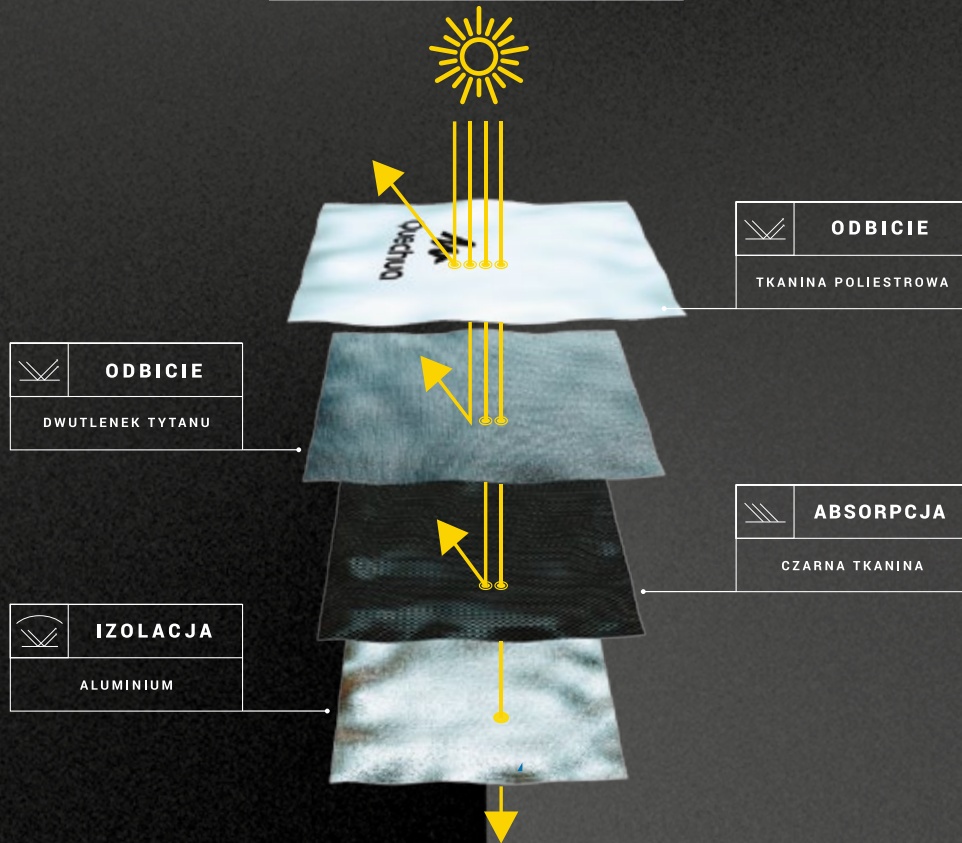
ZDJEŃCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2015, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH OD 24 CZERWCA DO 24 LIPCA 2016 WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W SZKLARSKIEJ PORĘBIE W KARKONOSKIM PARKU NARODOWYM PRZY ULICY OKRZEI 28.

WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

NAMIOT
FRESH & BLACK

JAK TO DZIAŁA?

4 WARSTWOWY KOMPONENT



INNOWACJA 2016

JEDYNY TAKI NA RYNKU



PRODUKT DOSTĘPNY
W SKLEPACH

DECATHLON

ORAZ NA **decathlon.pl**
KUPUJ ONLINE 

Liliana Cieszyńska

PERU
**Oblicza
męskości**

Indianin z wyspy Taquile na jeziorze Titicaca w peruwiańskiej części Altiplano w trakcie robótek ręcznych. Wyspa słynie ze sztuki wyrobu tkanin, tekstyliów i ubrań wykonywanych na drutach lub krosnach. Rzemiosłem zajmują się zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Tradycja tkactwa sięga tu czasów prekolumbijskich, a w stylistyce widoczne są wpływy hiszpańskie. Oprócz czapek charakterystyczną częścią garderoby są szerokie pasy obrazujące coroczny cykl obrzędów i prac rolnych. W 2008 r. sztuka wyrobu tkanin z wyspy Taquile została wpisana na listę UNESCO.





TIKKA® XP

Niezawodne oświetlenie podczas waszych przygód.

Photo © www.kalice.fr

TIKKA XP jest idealna do aktywności outdoorowych i szybkiego przemieszczania się. Wielowiązkowa, kompaktowa, prosta w użyciu. Wyposażona w technologię CONSTANT LIGHTING, dzięki której parametry oświetlenia nie zmniejszają się w miarę rozładowywania baterii. Moc światła: 180 lumenów. www.petzl.com



Access
the
inaccessible®

Hubert Adamczyk

CHILE

Przy „siódemce”

Malownicza okolica jeziora General Carrera. Prowadzi do niego Carretera Austral, droga krajowa nr 7, główna arteria komunikacyjna południowego Chile, która rozciąga się na długości 1240 km. Chociaż jej budowę rozpoczęto jeszcze za rządów Pinocheta, w 1976 roku, to do dzisiaj w wielu miejscach stanowi prawdziwe wyzwanie z powodu wybojów, żwiru i pyłu unoszącego się spod kół przejeżdżających samochodów. Zmienna pogoda – deszcz, wiatr, ostre słońce i zimno – bywa bezwzględna dla sprzętu. W tej wyprawie towarzyszył obiektyw Irix 15 mm f/2.4, który świetnie sprawdził się w ekstremalnych warunkach pogodowych Patagonii.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W tytule maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.



DZIĘKI **wprost** DOSTAJESZ WIĘCEJ

PRENUMERATA ROCZNA

ROCZNA prenumerata tygodnika + **JEDEN DOSTĘP** do wersji elektronicznej „Wprost” + „Dziennik uważności” Corinne Sweet i „Kolorowanka uważności” Emma Farrarons

ODSZUKAJ HARMONIĘ I SPOKÓJ



+



210 zł

PRENUMERATA ROCZNA

ROCZNA prenumerata tygodnika + **JEDEN DOSTĘP** do wersji elektronicznej „Wprost” + **NIESAMOWITE PRZEPISY JAMIEGO OLIVERA**: „Szalony grill”, „Sezonowe słodkości”, „Rodzinne przysmaki”



+



211 zł

Szczegóły: 22 529 12 10 | prenumerata@pmpg.pl | Oferta ważna do wyczerpania zapasów

JAK ZAMAWIAĆ:

www.prenumerata.wprost.pl

lub wpłata po uprzedniej rezerwacji na konto:

48 1140 1010 0000 5326 5900 1011

AWR Wprost, Al. Jerozolimskie 212

02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj z oferty już teraz.

Otrzymasz prezent,

a prenumeratę przedłużymy Ci po zakończeniu obecnie trwającej.

RUSZ NA RUGIĘ!

ZAŚLUBINY Z MORZEM

Plaża i moło w Sellin, z restauracją i salą bankietową, do których schodzi się po 99 drewnianych stopniach. Obiekt często pełni funkcję domu weselnego dla nowożeńców, którzy przyjeżdżają z całych Niemiec.



Wyspa, oddalona zaledwie o dwie godziny jazdy od polskiej granicy, ma do zaoferowania nie tylko piękne plaże i urokliwe kredowe klify. Jest także pełna interesujących miejsc dla miłośników historii czy aktywnego wypoczynku. Dzięki temu przyciąga turystów o każdej porze roku.





BIELSZY ODCIĘN BIELI

Jeden z symboli miejscowości wypoczynkowych na Rugii, czyli białe ławeczki – zawsze czyste i odświeżane.

FOT. SHUTTERSTOCK



spragnionych odpoczynku gości, lecz także szukających natchnienia artystów. Bodaj najśłynniejszym twórcą na Rugii był Caspar David Friedrich (ur. 1774) – jego prace można oglądać w najważniejszych muzeach Europy. Warto przy tym wspomnieć, że nieodzownym elementem rugijskiego krajobrazu nad Bałtykiem są nadal tradycyjne wiklinowe siedziska, w których można schować się od wiatru. Zostały wynalezione w 1883 roku w niedalekim Rostocku przez lokalnego mistrza koszykarstwa Wilhelma Bartelmana.

WINDĄ NA PLAŻĘ

Urozmaicona linia brzegowa i nieregularny kształt lądu powodują, że nie ma na Rugii miejsca, które byłoby odległe od wody bardziej niż o 7 kilometrów. Powierzchnia wyspy wynosi raptem 926 km² (dziesiąta część województwa opolskiego – najmniejszego w naszym kraju). Kameralna atmosfera, ponad 50 kilometrów piaszczystych plaż oraz majestatyczne kredowe skały od dawna przyciągają tu nie tylko

Najbardziej znaną miejscowością wypoczynkową wyspy pozostaje miasteczko Binz (Bińce). Jak większość kurortów na Rugii, jeszcze pod koniec XIX wieku była to zwykła wioska rybacka. Szybko jednak Binz upodobali sobie dobrze sytuowani mieszkańcy Berlina i Hamburga, następnie innych miast, a nawet sąsiadujących krajów. Do dzisiaj w tym pięcioletnim miasteczku można oglądać unikatowe przykłady architektury kurortowej – charakterystyczne



białe domy z przełomu XIX i XX wieku z finczyńnie zdobionymi balkonami, balustradami, a nawet kolumnami. Większość z nich usytuowana jest wzdłuż nadmorskiej promenady i – odpowiednio zmodernizowana po przemianach ustrojowych ostatniego ćwierćwiecza – także i teraz pełni funkcję przytulnych pensjonatów i hoteli. Innym ważnym miejscem jest tu deptak prowadzący wprost na molo, z którego można wsiąść na statek turystyczny kursujący pomiędzy głównymi kurortami Rugii.

Oryginalnym sposobem przemieszczania się po wyspie jest także przejażdżka wypożyczonym *e-trabim* – jednym z typowych dla NRD pojazdów, które tutaj zostały należycie odnowione i przerobione na samochody z napędem elektrycznym. Trabantem można udać się choćby do miejscowości Sellin (Zielen), słynącej z najdłuższego mola na wyspie (394 metry) i pięknego położenia (z jednej strony Bałtyk, z drugiej jezioro Selliner See). Doceniali to przywódcy Niemieckiej Republiki Demokratycznej, którzy właśnie tam postanowili wybudować ośrodek wczasowy dla partyjnych dygnitarzy, ich znajomych oraz

przedstawicieli zaprzyjaźnionych krajów z tzw. bloku wschodniego.

Szefem kuchni działającego tam aktualnie hotelu jest człowiek, który pracuje tu od samego początku istnienia obiektu. Chętnie opowiada anegdoty o historycznych kulisach funkcjonowania ośrodka – takich choćby jak ta o sali kinowej z odnalezionym w niej kilka lat temu projektorze, w którym znajdowała się stara taśma z filmem „Dirty Dancing”, będącym raczej zaprzeczeniem wartości propagowanych przez NRD-owskich komunistów. W ośrodku do dziś można także korzystać z innych udogodnień, które pamiętają jeszcze owe dawne czasy: kręgielni, basenu oraz... windy na plażę (jedynej takiej w Niemczech).

SIŁA PRZEZ RADOŚĆ

Duże wrażenie robi wizyta w kolejnej z nadmorskich miejscowości – Prorze. Znajduje się tam wyjątkowa na skalę europejską budowla, która w zamyśle władz III Rzeszy miała być ośrodkiem wypoczynkowym dla... 20 tysięcy osób. W ośmiu identycznych budynkach,

MOSTY RÓWNOLEGŁE
Wyspę ze stałym łądem łączą dwa biegnące obok siebie mosty – Rügendamm i Rügenbrücke, rozciągnięte nad cieśniną Strelasund. Pierwszy z nich oddano do użytku w 1936 roku, a drugi w 2007. Nowa konstrukcja ma długość 2831 metrów.



FOT. BARTOSZ KRÓL

POMIĘDZY CZUBKAMI

Trasa „Szczytami drzew” w Centrum Dziedzictwa Przyrodniczego, z której można wypatrzeć wiele gatunków ptaków, między innymi orła morskigo.

o długości pół kilometra każdy, uczestnicy wyznaczonych turnusów mieli brać udział w nazistowskim projekcie „Siła poprzez radość”. Monumentalny 4,5-kilometrowy ciąg budynków nigdy nie został jednak wykorzystany zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem ze względu na wybuch II wojny światowej.

W czasach powojennych rozległy obiekt służył natomiast jako koszary dla wojsk NRD oraz Związku Sowieckiego.

Od kilku lat większość masywnych bloków stopniowo trafia w prywatne ręce i jest przekształcana w nadmorskie apartamenty, które cieszą się dużą popularnością. Dwa bloki stojące pośród gigantycznych chaszczy są jednak w stanie całkowitej ruiny, gdyż żołnierze wschodnioniemieckiej armii eksperymentowali w nich z materiałami wybuchowymi. Nieocenionym źródłem wiedzy na temat tzw. Kolosu Prory jest Centrum Dokumentacji działające w pobliżu. Można w nim oglądać archiwalne plany kompleksu, także te niezrealizowane, zdjęcia, propagandowe plakaty czy wycinki z ówczesnej prasy.

Prora to jednak nie tylko świadectwo mrocznej przeszłości, lecz także znakomity przykład spoglądania w przyszłość – za sprawą Centrum Dziedzictwa Rugii. W czynnym cały rok rezerwacie są organizowane warsztaty i wystawy przyrodnicze, a jego główną atrakcją jest spacer liczący 1250 metrów trasą „Szczytami drzew”, przebiegającą w większości na poziomie ich koron. Kulminacyjnym momentem jest wejście na wieżę widokową w kształcie orlego gniazda, skąd urzeka panorama wyspy widoczna z wysokości ponad 80 metrów. Od otwarcia przed dwoma laty re-



FOT. BARTOSZ KRÓL

CHWIEJNYM KROKIEM

Spacer na wysokości nie tylko pogłębia wiedzę na temat otaczającej fauny i flory, ale także poprawia koordynację ruchową w trakcie kontaktu z drgającą kładką.

zerwat odwiedziło ponad 700 tysięcy osób. Na jego obszarze występuje ponad sto gatunków zwierząt i roślin z czerwonej listy gatunków zagrożonych. Bogactwo przyrody w tym miejscu wynika w dużej mierze z tego, że w czasach NRD były to tereny wojskowe, niedostępne dla zwykłych obywateli. Rezerwatu nie sposób przeoczyć, bowiem wejście do niego znajduje się w sąsiedztwie malowniczego pałacyku z XIX wieku, w którym zamieszkiwał kiedyś książęcy leśnik.

W Prorze mieści się także Muzeum Kolejnictwa i Techniki, które ze względu na wielkość wyspy może wydawać się fanaberią. Tymczasem jednym z symboli Rugii jest Pędzący Roland – ostatni zachowany fragment kolei wąskotorowej, której historia sięga 1895 roku, gdy została uruchomiona z myślą o transporcie płodów rolnych. Obecnie kolejka łączy dawną rezydencję księżęcą Putbus (Podbórz)

z najpopularniejszymi kąpieliskami (Binz, Selin, Baabe czy Göhren) i obejmuje 13 stacji na odcinku 25 kilometrów (w szczytowym okresie kolejki było ich 100). Przejechanie całości zajmuje dziś godzinę. Pędzący Roland o rozstawie torów 750 mm kursuje przez cały rok co dwie godziny, a w sezonie letnim znacznie częściej. Dla turysty nie bez znaczenia jest przy tym fakt, że bez trudu można nabyć bilet łączony upoważniający również do wspomnianego już rejsu statkiem.

BIAŁE ŻŁOTO RUGII

Kolejnym istotnym punktem na mapie Rugii jest Sassnitz (Sośnica), główny port wyspy. Na obrzeżach tego 10-tysięcznego miasteczka działa terminal, z którego odpływają duże promy do Szwecji (Trelleborg) i Danii (Rønne na wyspie Bornholm). Bliżej centrum, w starym

BUKI NA KREDZIE

Rugia uchodzi za jedną z najpiękniejszych wysp na Morzu Bałtyckim. Nad kredowymi klifami w Jasmundzkim Parku Narodowym górują stare lasy bukowe, które w 2011 roku wpisano na listę UNESCO.



FOT. SHUTTERSTOCK

porcie, który wciąż jest zdolny do przyjmowania jednostek i pełni funkcję rezerwową, cumują mniejsze statki turystyczne opływające wyspę oraz okręt podwodny HMS Otus, przekształcony w muzeum (U-Boot Museum). W latach 1962–1990 jednostka ta wchodziła w skład brytyjskiej floty i przeprowadzano na

platforma z fantastycznym widokiem na sąsiednie klify i wody Bałtyku. Oprócz podziwiania kredowych klifów (wydobywaną tam przez lata kredę długo określano „białym złotem z Rugii”), w parku można pospacerować po lasach bukowych, a także wejść na najwyższy punkt wyspy – Piekberg (161 m n.p.m.).



FOT. SHUTTERSTOCK

SZALONY ROLAND
Kultowa wąskotorówka, zwana też Szalonym Rolandem, rozwija prędkość aż 30 km/godz. Bez jego gwizdów, dzwonów i sapnięć trudno wyobrazić sobie Rugię.

niej między innymi ćwiczenia ewakuacji na dużej głębokości. To właśnie na jej pokładzie podczas ćwiczeń podwodniaków w lipcu 1987 roku, w norweskim Bjørnafjorden niedaleko Bergen, sprawdzano, jak wiele wytrzymać może człowiek będący coraz głębiej w morskiej otchłani. Pobito wówczas rekord świata – 183 metry.

Sassnitz jest świetną bazą wypadową do pobliskiego Parku Narodowego Jasmund – najmniejszego, ale z pewnością nie najmniej interesującego rezerwatu w całych Niemczech. Jego wizytówką jest tzw. Tron Królewski (Königsstuhl) – skała kredowa o wysokości 118 metrów, na szczycie której znajduje się

Komu to nie wystarczy, może udać się na zachodnią część Rugii, gdzie zlokalizowany jest jeszcze jeden chroniony obszar przyrodniczy: Park Narodowy Vorpommersche Boddenlandschaft, słynący z licznych lagun i występowania wielu gatunków ptaków wędrownych i lęgowych, na czele z żurawiami i łabędziami. Nie przez przypadek Rugia od wieków słynęła jako wymarzone miejsce polowań. Na łowy ochoczo przyjeżdżał tam Hermann Goering, a później Erich Honecker.

Rugia jest też doskonałym terenem dla rowerzystów. Świetnie rozwinięta sieć ścieżek rowerowych, łatwość wypożyczenia sprzętu oraz stosunkowo płaska powierzchnia sprawiają,

że jazda po wyspie jest czystą przyjemnością. Poza wcześniej wymienionymi miejscami znajdującymi się nad brzegiem Bałtyku możemy w ten sposób odwiedzić ciekawe punkty położone w głębi lądu. Jednym z nich jest bez wątpienia Bergen auf Rügen (Góra) – stolica wyspy, w której żyje blisko czwarta część z 63



ELEKTRYCZNE TRABANTY

Ostatnie trabanty zjechały z taśmy produkcyjnej w 1991 roku. Dziś – jako pojazdy elektryczne – są tutaj jedną z atrakcji turystycznych.

FOT. BARTOSZ KRÓL

tysięcy mieszkańców Rugii. Najważniejszym zabytkiem jest tu XII-wieczny kościół mariacki z okazałymi malowidłami ściennymi, romańskim kielichem i umieszczoną w fasadzie zachodniej tajemniczą rzeźbą z granitu. Najprawdopodobniej jest ona nagrobkiem jednego z pierwszych książąt rugijskich lub wizerunkiem Świętowita – bóstwa czczonego przez tutejsze plemię Ranów. ○

R E K L A M A

OFICJALNYM PARTNEREM
Tatrzański Park Narodowy

REGATTA GREAT OUTDOORS

Regatta wspiera ochronę przyrody w Tatrach.

WWW.REGATTA.PL



FOT. BARTOSZ KRÓL

PRAWIE JAK W ZOPPOT

Domy w Binz, powstałe na początku XX wieku, zaliczane są do tzw. architektury kurortowej. Dziś, po latach NRD-owskich porządków, znów prezentują się imponująco i ładują przypominają niektóre obiekty w Sopocie.



Bartosz Król

Łódzianin, miłośnik zwierząt i muzyki rockowej. Z wykształcenia prawnik, z zawodu dziennikarz, z zamiłowania podróżnik. Współpracuje z tytułami sportowymi, podróżniczymi i lifestyleowymi. Był w 50 krajach i planuje kolejne wojaże. Potrafi docenić także piękno ojczyźstych stron, po których wędruje z aparatem w dłoni, termosem dobrej kawy w plecaku i autorką powyższego zdjęcia u boku.





Jestem fanką wielkich pakistańskich domów. Ich rozmiary są proporcjonalne do wielkości rodzin. Goszczę w domu zaprojektowanym symetrycznie przez właściciela, który ze swoją rodziną zajmuje połowę, a drugą zamieszkuje jego brat, ożeniony z siostrą żony. Kobiety oprócz tego, że są siostrami, są jeszcze kuzynkami swoich mężów. Małżeństwo w Pakistanie to nie tyle związek dwojga ludzi, co związek dwojga rodzin.

Renata Matusiak

GOŚĆ W KRAJU WIELKICH DOMÓW



RAZ NA WOZIE, RAZ NAD WOZEM

W Pakistanie o podróżowaniu w warunkach, w których jeden człowiek przypadałby na jedno miejsce, można tylko pomarzyć.

FOT. RENATA MATUSIAK



Mają jaśniejszą skórę od południowych Pakistańczyków i w życiu kierują się kodeksem *pasztunwali*. Najważniejsze zasady to: gościnność, prawo zemsty rodowej, ale i przebaczenia (jeżeli ktoś przyzna się do winy), a także współczucie i pomoc słabszym oraz starszym. Ojczyznę Pasztunów jest Afganistan. Ich przodkowie znaleźli się po drugiej stronie tzw. linii Duranda z 1893 roku (od nazwiska brytyjskiego komisarza), która oddzielała strefę wpływów brytyjskich i rosyjskich. Mimo że budziła wiele kontrowersji, została utrzymana, a ludność tych terenów stała się potem obywatelami Pakistanu.

Do Pakistanu wjechałam przez słynną Bramę Chajberską stanowiącą symboliczne wrota z Indii do Azji Centralnej. Peszawar jest stolicą Północno-Zachodniej Prowincji Granicznej, którą w większości zamieszkują Pasztunowie.

ŁÓŻKO, CZYLI WYŻSZA CYWILIZACJA

W Multanie poznałam Umara, który był zaręczony. Zapytałam, czy znał narzeczoną wcześniej. To pytanie często zadawałam, bo zwyczaj jest tu taki, że to rodzice wybierają żonę syno-



FOT. RENATA MATUSIAK

wi. Okazało się, że znał, bo jest jego kuzynką. Uznał, że jest to miła i dobra dziewczyna, więc stwierdził, że chce się z nią ożenić. W zasadzie młodzi mogą się poznać sami, na uniwersytecie lub w pracy, ale ważna jest akceptacja rodziców dziewczyny. Prawie stuprocentowa gwarancja, że zgodzą się oni na ślub, istnieje wtedy, gdy chłopak ma państwową posadę. Dlaczego? Bo w sektorze prywatnym nie ma emerytur.

W każdym domu jest specjalne miejsce dla męskich gości niespokrewnionych z domownikami. W zależności od statusu materialnego rodziny jest to jeden pokój, albo nawet kilka z oddzielnym ogrodem. Natomiast kobieta gość ma dostęp do całego domu i wszystkich jego zakamarków. Wieczorami chodzę więc z wizytami, biesiaduję z kobietami i nie wiem, kto dla kogo jest większą atrakcją. Ja dla nich, jako podróżująca w pojedynkę, czy one dla mnie. Ich codziennymi zajęciami jest głównie spanie, jedzenie i doglądanie służby. Bo w Pakistanie albo ma się służbę, albo jest się służbą.

Pakistańczycy uważają się za wyższych cywilizacyjnie od sąsiadów z Afganistanu i dlatego całe sypialnie zastawiają łózkami. Afgańczycy bowiem śpią na rozłożonych na podłodze tradycyjnych *kurpacziach*, materacach wypełnionych bawełną. A sypialnia to pomieszczenie, gdzie śpi cała rodzina, czyli mama ze wszystkimi dziećmi. Nawet jeśli każdy ma swój pokój, oczywiście z łóżkiem, śpi się razem. Im liczniejsza rodzina, tym więcej łóżek i przejścia między nimi już nie ma.

W domu nowożeńców podziwiam kilogramy wyszywanych złotem i drogimi kamieniami sukien, które pan młody powinien zakupić w liczbie trzech, bowiem tyle dni trwa tradycyjne wesele. Strój ślubny, podobnie jak codzienny, składa się ze spodni, tuniki i *dupaty*, długiego, szerokiego szala, który ma zakrywać głowę, ramiona i biust. Zaślubiny to największa uroczystość, ale równie ważne są zaręczyny – obie okazje są powodem do zdobienia dłoni i stóp henną. Panna młoda, udekorowana

W CZYNIE SPOŁECZNYM

Pendżab usiany jest małymi meczetami, malowanymi i przyozdabianymi przez okolicznych mieszkańców.



MURARKA

Ta urocza pani reperuje swój dom. Używa prostej zaprawy: kilku rodzajów ziemi, zmieszanych z wodą, z dodatkiem suszonych traw.

FOT. REWAZA MANSUR



FOT. REWAZA MANSUR

NA STRAGANIE W MUTLANIE

Im dalej na południe, tym słodsze i smaczniejsze jest mango. Za jego stolicę uważany jest Mutlan.

niczym choinka, musi być obfotografowana, a całość – udokumentowana na wieki w postaci fotoksiążki, która spocznie później na honorowym miejscu.

SHOW W LAHORE

Stolice zwykle różnią się od reszty kraju, ale Islamabad, nowa stolica Pakistanu, różni się wyjątkowo. Jest mniejszy i spokojniejszy od innych miast. Bez tłumów na ulicach – tutaj się jeździ, a nie chodzi. Czysty, uporządkowany, wygląda jak stolica europejskiego kraju. O przyfrontowej specyfice Pakistanu przypomina jednak zamknięta dzielnica dyplomatyczna. Jej mieszkańcy i pracownicy mogą się swobodnie poruszać jedynie wewnątrz swego autonomicznego miasteczka. Tylko nieliczne placówki dyplomatyczne znajdują się poza jego murami. Należy do nich placówka Brazylii – konsul szukał niewielkiego lokum do wynajęcia, ale najmniejsze, jakie znalazł, miało cztery sypialnie i dwoje służących.

Na zalesionym wzgórzu widnieje charakterystyczny pomnik Pakistanu w kształcie kwitnącego kwiatu. Poszczególne płatki reprezentują różne prowincje, z typowymi dla nich elementami przedstawiającymi kulturę i historię kraju, jego różnorodność, ale i jedność zarazem. Jest to wspaniały punkt widokowy na miasto. Tylko że bilety wstępu dla obcokrajowców są tam 10–12 razy droższe niż dla miejscowych.

Przeciwieństwem Islamabadu jest połączone z nim Rawalpindi, przez miejscowych zwane Pindi. To typowy pakistański moloch pogrążony w chaosie, pełen ludzi i towarów. Stąd już niedaleko do Lahore, drugiego co do wielkości miasta kraju, które liczy ok. 15 mln mieszkańców. Chcę tam pojechać pociągiem, choć wszyscy to odradzają, narzekając na tabor i duże opóźnienia.

Dworzec kolejowy w Rawalpindi pasuje raczej do Islamabadu niż do Pindi i całego Pakistanu. Jest czysty i pusty. Na jego teren wpuszcza się tylko podróżnych z ważnymi biletami (kasy znajdują się 200 m od dworca). Pytam o kasę dla kobiet i słyszę, że z powodu braku podróżujących pań zlikwidowano ją, więc mogę ustawić się do okienka dla emerytów i posiadaczy kart kredytowych. Po chwili

staję się szczęśliwą posiadaczką biletu na Jaffar Express relacji Pindi–Quetta. Dlaczego zawsze wybieram klasę ekonomiczną? Po pierwsze – jest taniej, po drugie – nie ma klimatyzacji i po wyjściu nie doznaję szoku termicznego oraz bólu gardła, po trzecie – w związku z brakiem klimatyzacji mogę otworzyć okno (czasem jest otwarte na stałe) i robić zdjęcia.

Pociąg odjechał punktualnie. W podróży cieszyły oczy „wodne krowy”, które wykorzystują każdą sadzawkę, by się pomoczyć. Zobaczyłam też dwie potężne rzeki Czenab i Dżelam i utwierdziłam się w przekonaniu, że w Pakistanie wszystko jest ogromne: rodziny, domy, góry i rzeki.



Spaceruję po bazarze Anarkali. Zbliży się święto niepodległości i sprzedawane są różne patriotyczne gadzety, m.in. koszulki z napisem „Niepodległy Pakistan” z jednej strony, a z drugiej – „Nie ma prądu, gazu, wody, ale jestem dumny, że jestem Pakistańczykiem”.

Potem ląduję na widowni jednego z najpopularniejszych TV show. Prowadzi go celebryta Sahir Lodhi. Miało być po angielsku i w urdu – jest tylko w urdu. Nudzę się. W przerwie reklamowej opuszczam studio. Sahir prosi, abym

ŻYCIE JEST PIĘKNE

**W kraju kontrastów:
dobre auto
miejscowego
bogacza i dobre
samopoczucie biedaka.**



**PRZEGLĄD
MODY REGIONALNEJ**
Kobiety z wioski Hunza
w górach Karakorum.
Ubrane są w stroje
łącznie elementy
tadżyckie, pamińskie
i hinduskie.

zaczekała, aż skończy program. Zaprasza mnie na następny dzień w charakterze gościa specjalnego. Z przyjemnością więc poświęcam cztery godziny na to, by się uśmiechać, gdy mówią inni, a w przerwie między uśmiechami opowiadać, dlaczego przyjechałam do Pakistanu, mimo że nie ma on dobrej opinii w Europie, nie dość, że sama, to w dodatku przez przełęcz Chajber, której wszyscy tutaj się boją.

Obserwuję leniwe przygotowania do świąt i takie same ich spędzanie. Jestem gościem u kolejnej rodziny – mąż, dwie żony i pięcioro dzieci. Pan domu cieszy się małym pokojem na parterze obok biura, a w biurze pędzi bimber. Ma sporą kolekcję alkoholi świata. Ot, rzeczywistość w kraju, gdzie drinkowanie jest zabronione. Zapytałam jego drugą, młodszą żonę, czy rodzice wybrali jej męża. Oburzyła się i powiedziała, że jej małżeństwo jest z miłości. Ale on opowiedział nieco inną historię. Przez jakiś czas była jego pracownikiem. Gdy zamierzał ją ponownie zatrudnić, ojciec dziewczyny postawił warunek, że musi się z nią ożenić. Nie chciał się drugi raz żenić, ale w końcu ustąpił. Nie chciał też mieć więcej dzieci, bo ma czworo z pierwszą żoną. Wtedy ten ojciec zaczął straszyć go sądem, no i mają jedno dziecko.

U PIĘKNEJ PANI BHUTTO

Docieram nad Morze Arabskie, do Karaczi. Dworzec kolejowy w tym mieście jest jak należy: osobne kolejki dla kobiet, nawet osobne budynki z kasami dla klasy ekonomicznej i wyższej. I jest oczywiście bardzo głośno. Przyglądam się pasażerkom wokół, urodziwym kobietom z prowincji Sindh. Stąd właśnie pochodziła premier Benazir Bhutto, zwana Pięknością z Sindh. Setki kocujących i ani śladu pociągu. W całym Pakistanie wśród tych niezwykle gościnnych ludzi nigdy nie zdarzyło mi się czekać na coś czy na kogoś i stać, kucnąć lub siedzieć na ziemi. Zawsze podbiegał ktoś z krzesłem z pobliskiego sklepu, biura czy domu. A na zatłoczonym peronie zrobili mi miejsce na ławce.

W byłej stolicy pozostało wspomnienie po jednej z najpiękniejszych piaszczystych plaż. Wyciek ropy w 2003 roku zniszczył wszystko. Teraz najpiękniej jest w Beludżystanie, np. w Gwadarze.

Święto niepodległości Pakistańczycy zaczynają nocnymi zakupami. Galerie handlowe nęcą tu promocjami, okazjami, konkursami. W ciągu dnia do ostatniego miejsca wypełniają się kina, zresztą nie tylko w czasie tego święta. Kto nie kupił biletu wcześniej, może

Każda z pakistańskich ciężarówek jest niepowtarzalna, a ich kierowcy więcej życia spędzają na dalekich podróżach niż w domu. Również tutejsze traktory chcą być piękne.

wiwatować flagą na ulicy, a bilet kupić sobie na inny dzień. Kto wybiera się na film trójwymiarowy, musi jeszcze pamiętać o własnych okularach 3D, bo kina ich nie oferują.

MIĘDZY NAMI, KOBIECAMI

Chciałam podróżować po Karakorum Highway pięknie zdobioną pakistańską ciężarówką. Trasa biegnie z Islamabadu na północ, aż do Kaszgaru w Chinach, i jest najwyższą międzynarodową drogą świata. A tymczasem jadę w jednym z kilkudziesięciu autobusów i towarzyszy nam uzbrojona ochrona. Nie dlatego, że po drodze jest Abotabad, gdzie znajdował się nieistniejący już dom Osamy Bin Ladena. Przejedźdżamy przez tereny, które są pod kontrolą ekstremistów. I na tych odcinkach rejsowe autobusy zbierają się w kolumny, aby jechać pod eskortą.

W Dasu mamy przystanek na śniadanie. Nie chcę jeść, tylko pospacerować. Ale to stawia na nogi całą ochronę autobusów. Nie wolno się oddalać, to niebezpieczne. Poza przerwami na posiłki zatrzymujemy się jeszcze przy posterunkach, gdzie muszą być spisani cudzoziemcy. W mojej kawalkadzie jest ich dwoje: ja i Chińczyk. Ponad 20 autobusów i busów czeka, aż dojdziemy do punktu kontroli i pozwolimy zrobić notatki na podstawie naszych paszportów. Niedaleko stąd, w okolicach bazy pod Nanga Parbat, zamordowano niedawno europejskich turystów. Także niedaleko stąd łączą się ze sobą Himalaje, Karakorum i Hindukusz. Jedziemy dalej...

W Gilgicie trafiam na wesele – drugi dzień, w domu pana młodego. Wczorajsza impreza była u panny młodej, gdzie zebrała się żeńska część rodziny. Dzisiaj z kolei mężczyźni są zaproszeni na obiad. Siedzę z kobietami. Większość to mężatki, ale jest też wdowa i rozwódka. Czy złote bransolety, które zdobiją przedramiona, dostała od eksmęża? Nie, oddała mu wszystko, bo nie chciała takich wspomnień. Ta biżuteria to prezent od nowego narzeczonego – wkrótce znów będzie wesele. Zazdroszcza mi wolności. Chcą też robić coś dla siebie, a nie tylko dla rodziny.

Gdy odwiedziłam Uniwersytet Centralnego Pendżabu, jednego z profesorów interesowało, jak traktują mnie mężczyźni w Pakista-





FOT. REMATA / MARIUSZ

CO WYSTAJE ZA BURTE?

Jezioro Attabad to końcowy odcinek jednej z tras prowadzących z Pakistanu do Chin. Łodzie, kolorowe niczym tutejsze ciężarówki, przewożą samochody na rozłożonych w poprzek deskach (także zdjęcie na stronie obok).

nie. Zgodnie z prawdą wyraziłam się w samych superlatywach. Na co on odpowiedział: – *No właśnie, bo my umiemy szanować kobiety. Szkoła, że nie swoje.*

Kobiety cieszą się jednak, że mogą tutaj uczyć się i studiować i że nie spotkał ich los Malali, młodej aktywistki z Doliny Swatu, która wbrew zakazowi talibów chodziła do szkoły i namawiała do nauki również swoje koleżanki. Tego było już za wiele dla terrorystów, którzy zlekli się dziewczyny z książką i postanowili ją zabić. Postrzelona w głowę i szyję, przeżyła. Teraz mieszka w Anglii i dalej agituje na rzecz edukacji dziewcząt. Jest laureatką wielu nagród za swoją działalność, w tym Pokojowej Nagrody Nobla.

PAKISTAŃCZYK POTRAFI

Śladem wszystkich himalaistów podążających do bazy pod K2 pojechałam do Skardu. Po zjeździe z Karakorum Highway droga przypominała karkołomną trasę pamiorską. Siedzę teraz pod twierdzą Skardu przekształconą

w koszary wojskowe, a w dole oświetlone miasto otoczone Himalajami i Karakorum oraz szemrzący Indus. Głowę mam już w chmurach płynących razem z księżycem, który odbija się w nocnej tafli rzeki. Na skalnych zboczach w okolicy ukrywają się wizerunki Buddy – pamiątki po panującej tu przed wiekami religii.

Pakistańskie góry są pod względem etnicznym wyjątkowym koktajlem. Przykładem jest Hunza. O jej pięknie krążą legendy. Mieszą się tutaj wpływy tybetańskie, Azji Środkowej, pamiorskie. Jest malowniczo położona, z dwoma zamkami mirów – Baltit z XIV w. i Altit z XII w., wyremontowanymi ze środków Fundacji Agi Chana oraz rządu norweskiego. Wieś dzieli się na górną, środkową i dolną. W każdej dominuje inny język. W centralnej – bruszeski, w górnej – wakhi, w dolnej – shina. Zewsząd widać Rakaposhi, najwyższą w okolicy górę (7788 m n.p.m.), w otoczeniu Ladyfinger Peak (6000 m n.p.m.) i Diran (7266 m n.p.m.). Wąskimi uliczkami, wśród gliniano-kamiennych piętrowych domów, przemykają kobiety z koszami na plecach.

Mieszkańcy są ismaelitami (szyckie ugrupowanie religijne i polityczne). Ich domy są urządzone na kształt domu pamińskiego, z pięcioma kolumnami i otworem w dachu rozwiązującym problem wentylacji i światła. Kolumny mają związek z religią, symbolizują Mahometa, Fatimę, Alego, Hasana i imama Husajna. Nie widzę jednak żadnego ogrzewania. Wyobrażam sobie ten kamienny dom zimą, z kilkudziesięciostopniowym mrozem na zewnątrz... Pytam, jak sobie radzą w zimie. – *Zamykamy drzwi* – pada odpowiedź.

Jadę w stronę granicy z Chinami. Na Karakorum Highway przed Gulmitem w 2010 roku osunęła się ziemia i część drogi znalazła się pod wodą. W tym miejscu jest teraz przepiękne jezioro Attabad o długości 20 km, które trzeba pokonać łodzią. Jest to jedyna trasa dla towarów wędrujących między Pakistanem a Chinami. Naokoło jeziora Chińczycy budują nową drogę. Zagadką było dla mnie, w jaki sposób trasę tę pokonują ciężarówki, skoro nie ma promów. Otóż wszystkie samochody dojeżdżające do jeziora są transportowane na drugi brzeg na deskach położonych na motorowych łodziach. Jeśli podjeżdża ciężarówka, wtedy w poprzek dwóch płynących równolegle łodzi kładzie się potężne dechy, na które wjeżdża pojazd. Później już jedzie się aż do granicy. Pakistańczyk potrafi! ○



Szymon Żoczek w trakcie wyprawy na Aconcaguę – luty 2016 • Fotografia: Krzysztof Gutteter

ODZIEŻ,
AKCESORIA
I OBUWIE
NA WYPRAWY MAŁE I DUŻE

TURYSTYCZNY SKLEP INTERNETOWY
ul. Mazańcowska 20
43-502 Czechowice-Dziedzice
tel. +48 32 30 75 476
www.trekmondo.pl



www.trekmondo.pl

R E K L A M A

FOT. RENATA MATUSIAK



Renata Matusiak

Nauczycielka, przez dwa lata pracowała w Kirgistanie jako lektorka języka polskiego na Kirgisko-Rosyjskim Uniwersytecie Słowiańskim. Prowadziła audycje „Polonia” w Programie I Kirgiskiego Radia. Odwiedziła 51 krajów. Podróżuje sama, niskobudżetowo, najczęściej autostopem.

BRAMA DO FIORDÓW

Mikołaj Gospodarek

W powietrzu unosił się zapach ryb – świeżych, wędzonych i smażonych. Z trudnością przecisnąłem się przez zatłoczony targ. Usiadłem na brzegu w porcie i podziwiałem Bryggen – malownicze drewniane domki, jedną z największych atrakcji Bergen. Chwilę później ze wzgórza Fløyen patrzyłem na panoramę okolicy. Wiele osób wybiera to drugie co do wielkości miasto w kraju na początek norweskiej przygody. Nazywa się je przecież bramą do fiordów.

Norwegia to turystyczny raj dla każdego – odnajdą się tu piechurzy, rowerzyści, wspinacze, żeglarze, jak również mniej wymagający turyści samochodowi czy autokarowi. Ogromne przestrzenie sprawiają, że poza najbardziej znanymi atrakcjami można odnieść wrażenie, że zwiedzamy ten kraj samotnie.

NORWESKIE PUZZLE

Moim ulubionym szlakiem jest mająca początek w Bergen i licząca prawie 1500 km trasa przez różnorodne krajobrazowo i turystycznie miejsca. Mijam lodowce, a później pływam w ciepłych wodach fiordu. Moknę w milionach kropel wody spadających z wodospadu, a po chwili wędruję górskim szlakiem niczym w Tatrach. Po kilku dniach na łonie natury odpoczywam w cieniu zabytków w Bergen i patrzę na tętniący życiem od setek lat port. Miasto zaskakuje liczbą muzeów i bogactwem kulturalnym. Uwielbiam Trolldhaugen, mu-

przejść w kierunku zamku, który emanuje surowością, ale na jego dziedzińcu można odnaleźć bajkowe widoki.

W letnie wieczory Bergen nie gaśnie w mrokach nocy i wtedy lubię spacerować prawie pustymi ulicami. By zobaczyć wszystkie ważniejsze kościoły, muzea i galerie, trzeba poświęcić kilka dni. W Bergen, mieście na siedmiu wzgórzach, szybko odczuwam woła-



BERGEN Z FLØYEN

Ze wzgórze Fløyen, na które można wjechać kolejką, roztacza się najpiękniejsza panorama Bergen, drugiego co do wielkości miasta Norwegii.

zeum muzyka Edwarda Griega. Z punktów widokowych mogę patrzeć na miasto prawie do godziny 22.00. Szczyt Ulriken urzeka panoramą. Ja jednak wolę Fløyen, bo po zjeździe w dół jestem znów koło Bryggen i mogę

nie natury, dlatego nigdy nie zostałem w nim dłużej niż na jeden dzień. Wyczytałem gdzieś, że deszcz pada tu średnio przez 200 dni w roku – ja mam chyba wyjątkowe szczęście, bo jeszcze ani razu mnie nie złapał.

PŁYNĄCY PUNKT ODNIESIENIA

Gdy patrzy się na opadające pionowo ściany, które ciągną się po horyzont, gubi się możliwość oceny. Potęgę fiordów widać dopiero, gdy znajdzie się punkt odniesienia.





FOT. MICHAŁ GOSIŃSKI/AGFOT

Ruszam w trasę. Moim pierwszym celem jest miejscowość Stryn. Do przejechania mam prawie 300 km. Ta droga to pierwsza lekcja pokory dla kierowcy. Jej pokonanie zajmuje około 6 godzin, ale nagroda jest niezwykle urokliwa. To jedno z piękniejszych miejsc w tej części Norwegii. Podróż trwa dłużej, niż wynika z mapy, więc nocuję na przepięknie położonym campingu Mindresunde z widokiem na góry i lazurową wodę. W lipcu, kiedy ciemność prawie nie nastaje, trudno jest zasnąć w tak pięknym otoczeniu. Rano odwiedzam malowniczą, małą miejscowość Hjelle, skąd rozpościera się wspaniały widok na lodowce.

Kolejny odcinek trasy to sprawdzian dla nerwów i próba pobicia rekordu w liczbie pokonanych zakrętów. Mijam kolejne tunele i nagle wjeżdżam w serce skalistych gór. Po chwili wyrasta przed moimi oczami jeden z najbardziej znanych widoków – Geirangerfjorden – wpisany na listę UNESCO, 15-kilometrowy fiord otoczony stromymi ścianami i opadającymi z nich wodospadami. Każdy go widział, znany jest z puzzli, plakatów, kalendarzy. Tu trudno znaleźć miejsce do zaparkowania, dookoła nieprzerwana rzeka turystów. Mnie czeka kolejny podjazd i szybko uciekam z tego miejsca.

Po drodze aż do promu w Eidsdal czeka uczta widoków. Prom to zasłużony odpoczynek na trasie, chwila oddechu, choć nie są to zazwyczaj długie rejsy. Po kilkunastu minutach jestem już na drugim brzegu i znowu ruszam pod górę. Wskazówka paliwa mocno poszła w dół i po drodze musiałem tankować, mimo że przejechałem dopiero 400 km. Za każdym razem, kiedy mogę, odwiedzam sklepy (nie pojawiają się one zbyt często) i uzupełniam zapasy.

TROLLE NA ZAKRĘTACH

Jadę w kierunku Trollstigen, Drogi Trolli, a góry dookoła mnie stają się coraz wyższe. Po długim podjeździe pojawia się kawałek prostej i ogromny parking, zwiastun turystów. Te 11 serpentyn za każdym razem zmusza kierowcę do skrętu o 180 stopni. Wybudowana w 1936 roku droga szybko stała jedną z największych atrakcji Norwegii. Jej budowa

ZAKRĘCONA, ZAKRĘCONA...

Droga Trolli składa się z 11 serpentyn, z których większość skręca pod kątem 180 stopni. Bardziej efektowny jest zjazd niż podjazd, choć w każdą ze stron trzeba się nieźle nakręcić kierownicą.



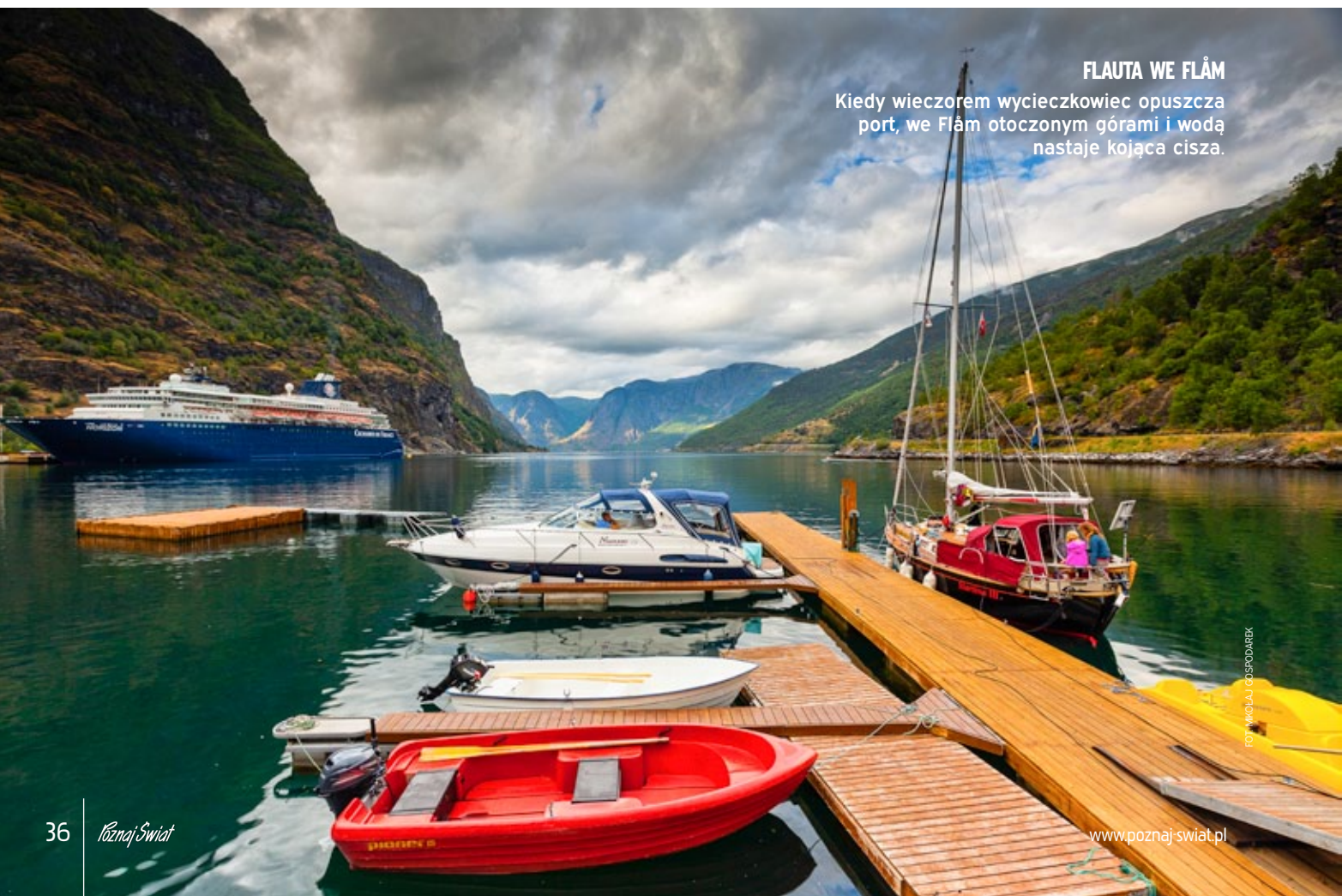
FOT. MIŁOJAU GOSPODAREK

pochłonęła 8 lat pracy i świadczy o niezwyklej fantazji budowniczych i projektantów.

To najbardziej wysunięty na północ punkt mojej podróży, mógłbym oczywiście jechać dalej, ale chcę zachwyć się wieczorną ciszą. Nie ja jeden wpadłem na pomysł nocowania tutaj. Wieczorem zjeżdżają campery i cała masa ama-

torów spania pod chmurką. Mimo to nie odczuwa się tłoku. Wybieram miejsce nieoczywiste, czyli sam punkt widokowy, idealnie równy, wybetonowany i cichy. Zasypiam z widokiem na Trollstigen z szumem wodospadu Stigfossen w uszach. W Norwegii, jeśli wyraźnie tego nie zakazano, można przenocować, gdzie komu pasuje. Ja wybieram boczne drogi z kawałkiem płaskiej ziemi do rozstawienia

namiotu, ale nie stronię też od parkingowych altanek, które są najlepszym rozwiązaniem, bo nie tracę czasu na rozstawianie biwaku. Budzą mnie pierwsze promienie słońca i pojawiający się wraz z nimi turyści. To znak, że szybko trzeba zjechać w dół, żeby uniknąć czekania na stromej drodze. Przede mną spo-



FLAUTA WE FLÅM

Kiedy wieczorem wycieczkowiec opuszcza port, we Flåm otoczonym górami i wodą nastaje kojąca cisza.

FOT. MIŁOJAU GOSPODAREK

ry kawałek malowniczej trasy, a jeszcze późnym popołudniem chciałbym stać u stóp najwyższego szczytu Norwegii. Wyjeżdżam na krajową drogę, ciężarówki przypominają mi, że muszę jechać szybciej i mniej się rozglądać, co nie jest takie proste. Wiele razy zatrzymuję się, żeby podziwiać niezwykle widoki.

Chociaż Norwegia słynie z surowych kar za wykroczenia drogowe, zauważyłem, że tam, gdzie las ciągnie się bez końca, noga na gazie wędruje mocno w dół. Po dwóch dniach żółwiego tempa trudno się do tego przyzwyczaić. Warto jednak ściągać nogę z gazu, bo mandaty liczy się w tysiącach złotych, o utracie prawa jazdy czy karze więzienia nie wspominając. Korzystam z możliwości lekkiego przyspieszenia, dojeżdżam do miejscowości Otta i kieruję się do Fossbergom, gdzie skręcam na jedną z najpiękniejszych tras widokowych – numer 55, którą pojedę aż do miejscowości Sogndal.

Dość szybko zjeżdżam z głównej drogi w kierunku schroniska Spiterstulen. Położone jest na końcu rozległej doliny, która ciągnie się przez ponad 24 km! Gdy asfalt się kończy, zaczyna się dzika jazda, ale droga jest dobrze utrzymana. Znajduję się w samym sercu Parku Narodowego Jotunheimen – to idealny punkt wypadowy na najwyższy szczyt kraju, Galdhøpiggen, wznoszący się na 2469 m n.p.m. Mnie zniechęca mozolne początkowe podejście, a uwagę odwraca przepiękna dziewicza okolica. Tutaj nad potokiem rozbiję namiot i przenocuję. Cisza maćona lekko szumem wody jest momentami aż nieprzyjemna.

POŻEGNANIE Z CISZĄ

Rano na parkingu panuje spory ruch. Grupy wspinaczy i turystów ruszają na szlaki, a ja wracam na główną szosę. Czekam na mnie spory kawałek drogi i niezliczone podjazdy i zjazdy. To bardzo popularna trasa, ale nawet w połowie lipca nie męczy zwiększony ruch. Ludzie nikną w ogromnych przestrzeniach. Podziwiam pokonujących tę trasę rowerzystów.



JAK DOBRZE NAM ZDOBYWAĆ GÓRY

W drodze na najwyższy szczyt Norwegii, Galdhøpiggen (2469 m n.p.m.), można rozkoszować się szumem potoku. Ten szlak należy do łatwych technicznie.

Zatrzymuję się pewnie około stu razy, ale wreszcie dojeżdżam do miejscowości Sogndal, gdzie skręcam na drogę nr 5 i przeprawiam się promem na drugą stronę. Po chwili wjeżdżam na niezwykle urokliwą drogę FV243, którą dojadę przez góry do Flåm. Droga nagle mocno się wypłaszcza, ale noga spada z gazu. Przejeżdżam ten odcinek z prędkością 20 km/h i dopiero kiedy wyprzedza mnie rowerzysta, budzę się z zauroczenia.

Jeśli komuś nawet nie po drodze, to gorąco namawiam do przejechania się najdłuższym na świecie, niemal 25-kilometrowym tunelem Lærdal. Zdarzyło mi się, że wjechałem z jednej strony w ulewę, a po drugiej stronie oślepiło mnie słońce. To naprawdę niepowtarzalne przeżycie. Pewnego razu było to też pierwsze ciemne miejsce po kilku dniach białych nocy i mało nie zasnąłem za kierownicą.

Ostatni raz rozbijam namiot na campingu we Flåm i idę na długi spacer po okolicy. Jestem niecałe 170 km od Bergen. Dojeżdża w to miejsce pociąg, dopływa tu prom wycieczkowy, więc cisza znika bezpowrotnie. Powrót do Bergen jest jak kubeł zimnej wody. Nic nie zapowiada miasta – ot, po prostu nagle znajduję się w centrum.

Po kilku dniach jeżdżenia malowniczymi drogami łatwo pobłądzić w płataninie tuneli i ślimaków. Gdy oddaję samochód w wypożyczalni, odczuwam pewną ulgę, ale już wtedy rodzi się też tęsknota za Norwegią. Zwiedzanie w krainie fiordów można dopasować idealnie pod własne potrzeby i oczekiwania. Można ruszyć szlakiem wodospadów, gór, fiordów i nawet gdy ograniczy się czas i wysiłek do minimum, można nasycić się do woli niepowtarzalnymi krajobrazami i pierwotną naturą.

Korzystne cenowo połączenia promowe czy lotnicze sprawiają, że uznana za drogi kraj Norwegia mimo wszystko cieszy się rokrocznie milionami turystów, bo dostać się do Bergen czy Oslo można dziś niezwykle tanio. Na miejscu przy odrobinie chęci i fantazji można zmieścić się w budzecie, a wszystko to, co pozostanie w głowie i sercu, stanie się bezcenne! ○



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

NORWESKIE MUST SEE

Trudno wyobrazić sobie wycieczkę po fiordach z pominięciem Geirangerfjorden. Krzyżują się tu szlaki rowerzystów, wycieczek autokarowych, camperów i motocyklistów. Na tarasach widokowych słychać wszystkie języki świata.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

POSMAKOWAĆ PÓŁNOCY

Najlepszym miejscem do spróbowania norweskich smaków jest Bergen. Można tu znaleźć całą gamę północnych smakołyków – od tanich przekąsek na targu po wykwintne dania w restauracji.



odkrywaj z nami



 *niesamowite przeżycia*

 *podróże doskonałe*

 *wyjątkowe autorskie trasy*



Pascal

www.pascal.pl/lonelyplanet

R E K L A M A



SKRZYPIĄCY ŚWIAT BRYGGEN

Drewno żyje swoim życiem. Słysząc to, gdy spaceruje się po zakamarkach zabytkowej dzielnicy Bryggen.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

CZAS NA PRZERWĘ

Bergen pełne jest zabytków, galerii i miejsc, które warto zobaczyć. Odpocząć można w jednym z pięknie utrzymanych parków.



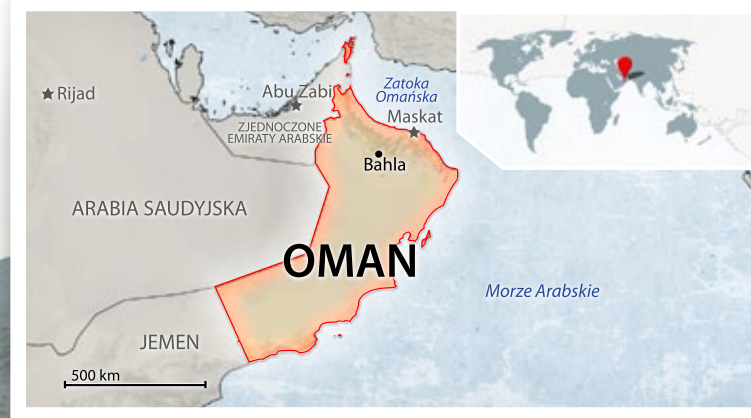
Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

W PUSTYNNYM GAJU PTASZKI ŚPIEWAJĄ

Widok z fortu w Nakhal na gaje daktylowe nawadniane faladżami – systemem kanałów zbudowanym przy pomocy dobrych dżinów nadzorowanych przez proroka Sulejmana.

– Mam ci tyle do opowiedzenia
– szepnął mi na dobranoc Oman, zupełnie jak Zorba Anglikowi, który przypląnął na wyspę, o której niewiele wcześniej wiedział. – W porządku, pokaż mi swój taniec – powiedziałem już przez sen i nie bardzo pamiętam, co było odpowiedzią. Musiała być jednak twierdząca, bo inaczej nie byłoby tych wspomnień...



Marek Pindral

W CIENIU, MINARETÓW





FOT. MAREK PINDRAL

PRZY STARYM SUKU

Domy kupców w Mutrah, nadmorskiej dzielnicy Maskatu, stolicy Omanu. Na jej terenie znajduje się jeden z najstarszych arabskich suków.

Whotelu coś twardego zaczęło mnie uwierać w głowę, więc postanowiłem poszukać sprawcy owej niewygody – okazało się nim menu, wydrukowane na sztywnym kredowym papierze. Nie informowało jednak o daniach, ale o poduszkach, które mogę zamówić do pokoju. W tej części świata to przedmiot niezwykle istotny, służący nie tylko do spania – na poduszce można także usiąść, o poduszkę można oprzeć plecy, poduszkę można podłożyć pod łokieć.

Ponieważ ta, którą miałem akurat pod głową, wydawała się całkiem wygodna, wyrzuciłem kartę poduszkowych dań poza teren łóżka. Odbiła się od stojącego przy nim sejf, który w moim przypadku pozostanie pusty, bo nie przyjechałem tu dla petrodolarów (w tutej-

szych drogeriach można kupić wodę kolońską „Tarzając się w pieniądzech”) i wylądowała na podłodze.

Co zobaczę i usłyszę jutro? A co pojutrze? A przez następnych kilkaset dni?

DŻINY NA ŁAŃCUCHU

Pędzę przez żwirową pustynię, zakończoną po obu stronach górami, które z minuty na minutę zmieniają swój kolor, aż w końcu stają przede mną w całej szarobrunatnej krasie. Do niektórych przylepiły się małe wioski zbudowane z kamienia i gliny, niektóre się już rozpadły, niektóre jeszcze żyją. Te, które podchodzą dziś do drogi, mury mają nie szare, ale białe. Przy tych pierwszych stały tylko wielbłądy, przy tych drugich parkują luksusowe samochody.



FOT. MAREK PIJRAL

Nagle po prawej stronie coś zawirowało i wzbiło się w powietrze. Dżiny! Wznosząc się wysoko w górę, wirowały z kilogramami piasku, po czym rozpięchwały na wszystkie strony. Wiele razy dawały mi się potem we znaki i musiałem unoszony przez nie pył usuwać nie tylko z ust, uszu czy nosa, ale i aparatu fotograficznego, a nawet majątek, bo tak wielka była siła ich rażenia.

Rozglądam się dookoła i widzę, że grupki złośliwych duszków chowają się za kępami ciernistych krzewów. Jestem jednak od nich szybszy i w końcu podjeżdżam pod wzgórze w starej części Bahli, na którym stoi potężny fort, podnoszony powoli z ruin. Z ową powolnością klóci się opowieść o tym, że kilkunastokilometrowy mur, który opasywał kiedyś osadę, wzniesiony został w ciągu... jednej nocy. No, ale jestem przecież w krainie magii, więc wszystko może się zdarzyć. Nie dziwię się zatem, że jeden z meczetów po prostu przyleciał tu nocą i został do dziś. Gdzie jest napisane, że latać mogą tylko dywany?

Postanawiam odszukać drzewo, w którym mieszkają dżiny. Nie będzie to trudne, bo stoi pośrodku suku i jest opasane łańcuchami, żeby złe duchy trzymać w ryzach.

– *Salam!*

– *Salam! Czego szukasz?*

– *Drzewa, w którym mieszkają dżiny. Jakos nie mogę go znaleźć.*

– *Bo ono jest teraz zamknięte. A w zasadzie to w ogóle go nie ma.*

– *Jak to nie ma?!*

– *Ludzie obwiniali je za całe zło, które się nam przytrafiło, więc lokalne władze kazały je dziesięć lat temu ściąć.*

Od tamtej pory urosło jednak nowe drzewo, ku uciesze złych dżinów, które na powrót wymościły tu swoje gniazdo. No bo jak inaczej wytłumaczyć słowa Issama, osiemnastolatka, którego okulary słoneczne kosztowały tyle samo, co najnowszy telefon komórkowy. Kiedy zapytałem go, kto jest jego idolem, odpowiedział, że Hitler.

WIELBŁĄDY ZDALNIE STEROWANE

Przygotowania do wyścigu wielbłądów na pustyni w okolicy Sueyq – zwierząt dosiadają nie dżokeje, ale kukły, sterowane drogą radiową.

WĄSIK MAŁYSZA

Zawsze, kiedy patrzyłem na mężczyzn (przyglądanie się kobietom jest tu zajęciem raczej ryzykownym), nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że oni stale mi kogoś przypominają. I nagle olśnienie – ze swoimi wypięgnowanymi bródkami i wąsikami to wypisz wymaluj amanci naszego przedwojennego kina! I tuż za owym olśnieniem przyplątała się do mnie refleksja, że my, Europejczycy, coś chyba w swoim pędzie za praktycznością zgubiliśmy. Jeśli spieszycie z pocieszeniem, że przecież i my doczekaliśmy się czegoś, co nazywa się metroseksualnością, to powiem, że to marne pocie-

szenie, bo wyznawcy owego trendu podążają coraz bardziej w kierunku upodobniania się do kobiet, podczas gdy tutaj zadbani mężczyźni nie tracą niczego ze swojej męskości. Choć owa męskość bywa czasami nieco kanciasta (obowiązuje tu na przykład zasada, że to mężczyźni mają pierwszeństwo), to jednak są generalnie szarmancy w stosunku do kobiet, choć tym ostatnim nie zazdroścę losu, który czeka je po ślubie.

Rzecz jasna tę niezwykłą dbałość o wygląd ułatwia fakt, że hinduski fryzjer weźmie za podstrzyżenie omańskiego wąsika jedynie cztery złote, więc chodzi się do niego przy-

W WONNEJ DISZDASZY

Omański elegant w białej *diszdaszy* z troczkiem pod szyją, nacieranym pachnącymi olejami. Dla podkreślenia wyrazistości zarostu wciera się w niego hennę.



FOT. MAREK PINDAL



najmniej raz w tygodniu, z reguły w czwartki, żeby w piątek, czyli muzułmańską niedzielę, prezentować się jak najodświętniej.

Trzeba też pamiętać, że w tutejszej kulturze wąs to oznaka męskości, a przyprószony siwizną symbolizuje życiowe doświadczenie, które przynajmniej w teorii powinno iść w parze z mądrością. U nas też tak kiedyś było, ale ów kanon męskiej urody, podyktowany jeszcze za Piastów, wydaje się dożywać swoich ostatnich dni pod nosem Adama Małysza. I to pomimo faktu, że jego strażacki wąsik święcił przez pewien czas wielkie triumfy wraz ze swoim właścicielem.

Jednak tutaj wąsom śmierć nie grozi. Co więcej – ci, których natura nie obdarzyła zbyt obfitym zarostem, a którzy mają wystarczającą ilość gotówki, mogą polecieć do Turcji i zafundować sobie implanty. Koszt 20 tysięcy złotych.

JEZUS SZUKA ŻONY

– Marek, pójdz na pierwsze piętro tamtego budynku i zostaw to na skrzynce w kącie korytarza – poinstruował mnie Issa (czyli Jezus).

Przystawiłem niewielką paczuszkę do ucha. Nic w środku nie tykało, więc nie zanosiło się na to, że zostanę wpłątany w jakąś terrorystyczną aferę.

– Okej. Ale po co te wszystkie podchody? – zapytałem mojego arabskiego przyjaciela, który niedługo skończy dwadzieścia trzy lata oraz jedną z tutejszych uczelni.

– Wiesz, w środku jest prezent dla dziewczyny, która bardzo mi się podoba – odparł, przewracając marzycielko oczami.

– To czemu nie wręczysz go jej osobiście? – zacząłem pytać zgodnie z naszą europejską logiką, ale owa logika została błyskawicznie przywołana do arabskiego porządku:

KOLOROWE PANIENKI

Niezamężne mieszkanki południowego rejonu, Dhofaru, w kolorowych abajach. Po ślubie przywdzieją czarne stroje, a kolorowe będą zakładać jedynie za murami swoich domostw i w czasie świąt lub rodzinnych uroczystości.



FOT. MAREK PONDRA

KRÓLESTWO SABY

Klify w Mogsail, blisko granicy z Jemenem – część legendarnego Królestwa Saby, do którego raz w roku, latem, dociera *khareef*, monsun znad Indii.

– *Chyba zwariowałeś! Co by o nas ludzie pomyśleli?!*

No tak, może nawet nie pomyśleli, ale pogadali. Chwilami miałem wrażenie, że Omańczyk z jednego końca kraju zna każdego, kto mieszka na jego drugim końcu. Wiedzano, gdzie jest akurat panna na wydaniu, a gdzie do żeniaczki przymierza się kawaler. I nieustannie spekulowano – ten pasowałby do tej, a tamta do tamtego; za tę będzie można wynegocjować tyle a tyle tysięcy, a za tamtą nawet dwa razy więcej, bo ma bielszą skórę.

Tutaj nie do pomyslenia jest fakt, że ktoś zdrowy na ciele i umyśle nie będzie miał żony czy męża. No i dzieci. – *Dużo dzieci, bo to przecież boży dar!* – Issa wybiegał swoimi myślami już w małżeńską przyszłość. Rzeczywiście, rodziny, które poznałem, miały z reguły kilkanaścioro potomstwa, nawet te biedne. – *Jak Allah da, wykarmimy i wykształcimy wszystkie, spokojna głowa!* – Mój młody przyjaciel tryskał ufnością, jakiej nie powstydziliby się cierpliwcy Hiob, którego domniemy grobo-

wiec znajduje się na południu Omanu. Nie chciał jedynie powiedzieć, dlaczego ich sułtan pozostaje od siedemdziesięciu pięciu lat starym kawalerem.

LULAJŻE, MISIUNIU

W Omanie świętowałem narodziny nie tylko proroka Mahometa, ale także innego proroka islamu, Jezusa. Przybyli do mnie nawet kolędnicy. A jak dotarli do kraju ibadytów? Niektórzy z zatrudnionych tu Hindusów to chrześcijanie. A skąd chrześcijaństwo w Indiach? Mój keralski sąsiad był święcie przekonany, że przywiózł je tam Święty Tomasz Apostoł. Co więcej, w drodze do Indii miał się nawet zatrzymać w Omanie. Zatem wszystko wydaje się na miejscu, prawda?

Czułem się z nimi jak wśród pierwszych chrześcijan. Ale nie dlatego, że kaplicę ukryli w prywatnym mieszkaniu, ale ze względu na entuzjazm modlących się – pełno było u nich radosnego klaskania i tańczenia, wszyscy byli sobie bardzo bliscy i serdeczni.



Potem zaprosili mnie na jasełka, których nie zapomnę z kilku powodów – odbyły się przecież w muzułmańskim kraju, między wielkim piątkowym meczetem a domem publicznym, w którym pracowali *ladyboys* z Filipin. A za Jezusa i Maryję przebrali się Hindusi, którzy w ostatniej chwili przypomnieli sobie, że nie mają odpowiedniej lalki do położenia w żłobie, więc położyli tam pluszowego misia.

MOZART W TURBANIE

Nieraz spotykałem Beduinów, którzy nie rozumieли muzyki Chopina czy Hendrixa i niewiele obchodziły ich szekspirowskie dylematy, bo zamiast nich delectowali się urodą galopującego konia, podziwiali wytrzymałość wielbłąda i bystrość sokolich oczu czy godzinami rozprawiali o daktylach. I jeśli coś mnie w tym wszystkim dziwiło, to tylko to, że choć do tej pory obywałem się bez ich świata, to chętnie uczyłem się nowych rzeczy, a im przeważnie wystarczyło to, co już znali. Choć nie do końca...

Szedłem kiedyś brzegiem morza, aż dotarłem do chłopaka, który stał twarzą do wody i wymachiwał rękami. Rozejrzałem się dookoła, ale nie dostrzegłem na falach niczego, do czego ów odziany w białą szatę młody człowiek mógłby machać. Zacząłem więc przypatrywać się jemu samemu i po chwili zauważyłem, że ruchy ma rytmiczne, że układają się w logiczny ciąg. Dopiero kiedy stanąłem tuż przy nim, zobaczyłem, że pod turbanem ma słuchawki.

Obrócił głowę w moją stronę i uśmiechnął się.
– *Pokój z tobą! – I z tobą! Czego słuchasz?* – zapytałem ośmielony.

Zdjął słuchawki ze swoich uszu i nałożył na moje. To była „Symfonia Jowiszowa” Mozarta. I wiecie co? Nie kłóciła się ani z szumem morza, ani nawoływaniem muezina, które rozległo się po chwili z pobliskiego minaretu. Co więcej, we wszystkich tych trzech odgłosach, które docierały do moich uszu, była konkretność chwili, ale także coś, co pozwalało się ponad tę chwilę unieść. Jak flamingi, które stały niedaleko nas, po czym wzbily się ku niebu... ○

PÓJDĘ BOSO

W drodze na piątkowe modły do jednego z okazałych meczetów sułtana Qabusa. Największy z nich może pomieścić aż 20 tysięcy wiernych.



Marek Pindral

Odwiędził kilkadziesiąt krajów, mieszkał w Wielkiej Brytanii, Chinach i Omanie. Wrażeniami dzieli się w artykułach, książkach i na wystawach fotograficznych. Przetłumaczył na język polski nauki jednego z hinduskich awatarów, w którego aśramie spędził kilka tygodni. W 2013 r. ukazała się jego książka „Chiny od góry do dołu”, a w 2016 r. „W cieniu minaretów – Oman”.

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE



To zbiór relacji z najbardziej pasjonujących wypraw popularnych podróżników – Elżbiety i Andrzeja Lisowskich. Wypraw do świata emocji, rytuałów, pragnień i spełnień. To szukanie radości życia na krańcach świata i w samym sobie. Smakowanie chwil od dżungli na Borneo po Broadway. Dotykane sacrum i profanum. W wonnym dymie sziszy w irańskim Isfahanie, na szlaku pielgrzyma w Birmie i Dubrowniku, na ścieżkach badacza w Bengalu czy w czasie masażu na wyspie Lombok. Autorzy przekonują, że esencja podróżowania to nie powierzchowne zwiedzanie kolejnych zabytków, lecz powolne zatapianie się w tym, co daje rozkosz wszystkim zmysłom. Ta książka powstała dzięki pasji i pragnieniu zarażenia czytelników fascynacją różnymi odcieniami kultur, najcudowniejszymi smakami, najpiękniejszymi widokami, najbardziej poruszającymi serce dźwiękami i całą gamą najmocniejszych wrażeń, jakich można doznać w różnych zakątkach Ziemi. Książka ukazała się nakładem wydawnictwa Esprit.



DLA POSZUKUJĄCYCH PASJI

W dniach 17–18 czerwca w warszawskim EXPO XXI organizowany jest event FreeTime – dla poszukujących pasji. Organizatorzy będą zarażać pozytywną energią, a także promować aktywny tryb życia. Chcą przekonać warszawiaków, że „Życie ma wiele barw... na wyciągnięcie ręki”. FreeTime to nie tylko miejsce, w którym będzie można atrakcyjnie spędzić weekend razem z rodziną czy przyjaciółmi. Celem imprezy jest przede wszystkim oderwanie ludzi od wirtualnej rzeczywistości i pokazanie, jak dużą wartość ma aktywne życie, z pasją.

Historia białego szaleństwa

„Magia nart” autorstwa Beaty Słamy i Wojciecha Szatkowskiego to pięknie wydana dwutomowa publikacja zawierająca szczegółowy opis historii polskiego narciarstwa tatrzańskiego i współtworzącej go kultury regionu. Tom pierwszy „Czas pionierów” jest zapisem najwcześniejszych szusów i „niegdysiejszych śniegów”, czyli historii tego sportu zimowego. Z kolei drugi tom pt. „Mistrzowie” to spis najciekawszych postaci polskiego narciarstwa tatrzańskiego, wzbogacony cytatami i anegdotami z życia wziętymi. Książki zostały wydane nakładem Tatrzańskiego Parku Narodowego.



JAZDA W NIEZNANE W PRZESIECE

Po zimowym wyczekiwaniu przychodzi czas na pierwsze zawody w kolarskim enduro. 18 czerwca przekonamy się, kto najlepiej poradzi sobie z czterema nowymi odcinkami specjalnymi wyznaczonymi na terenie gminy Podgórzyn. Karkonoskie ścieżki kryją wiele tajemnic, które zaskoczą niejednego ridera. – Mamy jednak świadomość, że przy rywalizacji on-sight nie należy przesadzać z trudnością, bo już samo jechanie bez wcześniejszej znajomości trasy wystarczająco utrudni rywalizację – mówi Grzegorz Miedziński, organizator zawodów.

Po sukcesie imprezy w 2015 roku można spodziewać się dużego zainteresowania wyścigiem, w którym utrzymane zostaną takie standardy, jak: elektroniczny pomiar czasu, wyniki online, grupy startowe (po 20 osób), losowanie nagród wśród wszystkich uczestników czy wieczorna integracja przy grillu. Będą również nowości. Pierwszą z nich jest bluza kolarska „Enduro MTB Series by Kellys” wykonana przez Galaxy Wear, którą będzie można kupić podczas rejestracji lub w czasie zawodów. Kolejna nowość to



miniturniej zręcznościowy, który zostanie rozegrany po dekoracji zwycięzców. Organizatorzy podpowiadają, że warto zabrać ze sobą kąpielówkę i ręcznik.

www.Enduro-MTB.eu



BĘDĄ WARZYĆ I SOLIĆ

Na dziedzińcu Zamku Żupnego w niedzielę 12 czerwca odbędzie się plenerowa rodzinna impreza, podczas której mieszkańcy Wieliczki będą cieszyć się z bogactwa swoich cennych złóż. W Święto Soli Zamek Żupny niczym ogromny wehikuł czasu zabierze uczestników w przeszłość. Będzie można poznać dawne metody produkcji soli oraz pracę rzemieślników, których wyroby (beczki, liny, a nawet papier) były niezbędne dla funkcjonowania żupy – dawnego przedsiębiorstwa solnego. Goście własnoręcznie spróbują warzenia soli, skręcania lin, wyplatania koszy, warzenia piwa oraz czerpania papieru i kaligrafii. Motywem przewodnim tegorocznego święta jest „Sól w medycynie i kosmetyce”, zaplanowano więc warsztaty poświęcone temu, jak w zgodzie z naturą dbać o zdrowie i urodę, a na zamku zostanie wzniesiona grota solna. Organizatorem imprezy jest Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka.

Spotkania szalonych podróżników

W dniach 3–5 czerwca w Parku Łazienki w Środzie Wielkopolskiej odbędzie się III Festiwal Podróżniczy. Tym razem Stowarzyszenie Klub Szalonego Podróżnika zdecydowało się na inną formę festiwalu. Odbędzie się on w plenerze, aby wzmocnić w uczestnikach podróżniczego ducha. Prelegenci przedstawią swoje podróże poprzez zdjęcia i opowieści, których będzie można słuchać do późnych godzin wieczornych. Jak co roku odbędzie się konkurs na autora najlepszej prezentacji. Gościem będzie fotograf Marcin Dobas, który poprowadzi warsztaty. Przyjedzie także Monika Witkowska – dziennikarka, pisarka i podróżniczka, zdobywczyni Mount Everestu. Bartosz Malinowski opowie, jak ukończył Wielki Szlak Himalajski. Zawita również Robert Gondek z projektem



„W drodze na najwyższe szczyty Afryki”. Prezentację wyprawy na Arktykę poprowadzi zaś Piotr Horzela.

www.szalonypodroznik.pl

1050 lat temu zaczęła się Polska

WMuzeum Początków Państwa Polskiego w Gnieźnie odbyła się premiera gry planszowej „Ale historia!”. Gra została przygotowana z okazji 1050-lecia chrztu Polski. Dzięki niej gracze mają okazję zagłębić się w naszą narodową kulturę i historię od pierwszych Piastów aż do czasów współczesnych. Czy Mieszko I był królem? Gdzie wzniesiono pierwszy most na Wiśle? Czy Kolej Warszawsko-Wiedeńska dojeżdżała do Lwowa? Ile razy

uhonorowano Nagrodą Nobla Marię Skłodowską-Curie? Czy Fiata 126p produkowano na Śląsku? Pytania do gry wymyślił nauczyciel, doświadczony historyk



Zbigniew Pawłowski, a autorem jej reguł jest Filip Miłurński. Mechanika gry pozwala dopasować poziom zagadek do wieku i wiedzy graczy. Pytania dzielą się na trzy kategorie trudności, a uczestnicy zabawy sami decydują, na które z nich chcą odpowiadać. „Ale historia!” to świetne połączenie nauki z zabawą i niezwykle podróż przez wieki narodowej historii i kultury Polski.

Dруга z polecanych przez wydawnictwo Granna gier planszowych – „Od Helu do Wawelu” – przeznaczona jest dla miłośników geografii. W dzieciństwie każdy z nas lubił wodzić palcem po mapie. Teraz mamy możliwość sprawdzenia swojej wiedzy o położeniu geograficznym najatrakcyjniejszych miejsc w Polsce. Gdzie leży Sanok? Czy to Pińczów, czy Nałęczów leży bliżej Kielc? Które z miast są bardziej wysunięte na wschód, północ lub zachód? Znajomość map nawet w dobie GPS-ów jest bardzo przydatna i zanim wyruszymy w kolejną niezwykle podróż, warto sprawdzić swoją znajomość mapy Polski. W pudełku znajdziemy 178 kart miast i atrakcji turystycznych.

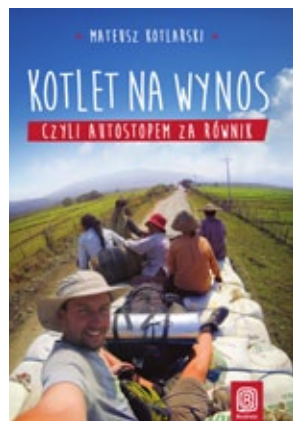
Wydawnictwo Granna jest najbardziej rozpoznawalną polską firmą, wydającą od 25 lat gry planszowe dla dzieci, młodzieży i rodzin. Nauka poprzez zabawę to cel wydawnictwa, które w swojej ofercie ma ponad 300 tytułów gier o różnej tematyce.



KOTLET NA WYNOS

Kotlet pewnego dnia postanowił skrócić w innym kierunku. Spakował się na wynos, wystawił kciuk do góry i wyruszył w podróż, która miała być dwumiesięcznym wypadem autostopowym po Rosji i Mongolii.

Los chciał, że zakończyła się osiem miesięcy później na drugiej półkuli – w Indonezji. Opowieść Kotleta to ponad 30 tysięcy kilometrów przemierzonych autostopem przez Rosję, Mongolię, Chiny, Laos, Tajlandię, Kambodżę, Birmę, Malezję, Singapur i Indonezję. To niezwykle historia powstała ze zwykłego połączenia odrobiny fantazji, ogromnego samozaparcia i dostatku wolnego czasu. Publikacja ukazuje się w czerwcu nakładem Wydawnictwa Bezdroża.



Poznaj Świat z... Tomaszem Grzywaczewskim

15 czerwca o godzinie 17.30 w Muzeum Emigracji w Gdyni odbędzie się spotkanie z Tomaszem Grzywaczewskim, podróżnikiem, dziennikarzem i pisarzem. Opowie on m.in. o wyprawie do Kamerunu „Vivat Polonia 2016” śladami polskiego odkrywcy Stefana Szolc-Rogozińskiego. To dobra okazja do poznania historii największego polskiego odkrywcy Afryki w XIX wieku, który wymazywał białe plamy na jej mapie i marzył o zbudowaniu polskiej osady na Czarnym Łądzie.

www.polska1.pl

Żeglarze ze Śląskiego Yacht Clubu pod wodzą kapitana Jacka Załuskiego (uczestnika wyprawy Selma – Antarktyda – Wyrwałość), harcerze z 12. Gliwickiej Drużyny Wodnej Próbniej oraz podopieczni Fundacji „Gniazdo Piratów” 18 czerwca wypłyną z Portu Gliwice w trzytygodniowy rejs. Chcą pokonać Odrę, jeden z najdłuższych szlaków rzecznych w naszym kraju. Do udziału w przedsięwzięciu został zaproszony szantymen Roman Roczenia, który organizuje rejsy pełnomorskie dla osób niewidomych i słabowidzących.

Ekipa popłynie Wrzaskunem – starym jachtem typu DZ – i przepłynie 700 km. Wrzaskun to jednostka odkryta, bez kabiny, kambuza i toalety, zatem załoga będzie musiała znośić każdą pogodę i wszelkie niedogodności. W marinach odwiedzanych przez jacht będą organizowane spotkania, podczas których prezentowane będą zdjęcia i filmy z przebytej już trasy Odrą oraz z głośnej wyprawy jachtem morskim Selma Expeditions na Morze Rossa, podczas której ustanowiono rekord Guinnessa w żegludze najdalej na południe w 2015 roku.



Kultowe przewodniki już w Polsce

Za sprawą Pascala na księgarskie półki trafi Lonely Planet – seria kultowych przewodników w polskiej wersji językowej. Pierwsze takie publikacje powstały przed 40 laty z pasji podróżowania i podziwiania świata. Założycielami wydawnictwa byli Tony i Maureen Wheeler, którzy po ślubie wyruszyli w odległą (wówczas) podróż przez Azję do Australii. Dziś piszący dla Lonely Planet są ekspertami w swojej dziedzinie, a opisane ścieżki przeszli

na własnych nogach. Łączna sprzedaż wydawnictw pod tym znakiem sięga 120 mln egzemplarzy w 11 językach. Przewodniki Lonely Planet to nie tylko gwarancja świetnych tras, przydatnych informacji, pięknych zdjęć, ale i dotarcia do unikatowych miejsc. Więcej informacji: pascal.pl.



ROWEROWE ELDORADO W ZASIĘGU RĘKI

Trzy lata temu grupa zapaleńców (Marek Janikowski, Mateusz Ostapiuk i Piotr Kurczab) zamarzyła, by mieć rowerowe eldorado pod domem. Przy wsparciu gminy,

miejskowego klubu SGR oraz lokalnych firm zaczęli spełniać swoje marzenia. Srebrna Góra to miejscowość na styku Gór Bardzkich i Sowich. Szczyty w okolicy sięgają 800 m n.p.m., lasy są głównie bukowe i świerkowe, a stoki zróżnicowane. Okolica idealnie nadaje się do stworzenia różnego rodzaju tras MTB, w tym głównie enduro. Trasy wiją się pomiędzy drzewami, wąskimi i krętymi ścieżkami, czasami napotyka się takie przeszkody, jak muldy, hopki i strome ścianki. Jest to miejsce, gdzie można doskonalić technikę jazdy, a przy dużych prędkościach zażyć dawkę adrenaliny. Do wyboru jest około 20 km tras (A, A1, B, C – SGR Line, C1, D – Romet Red Line). Każda linia oferuje coś innego, z pewnością każdy tutaj znajdzie coś dla siebie. Nigdzie w Polsce nie ma tak długich tras enduro, a w planach jest rozbudowa miejsca m.in. o łatwą 10-kilometrową trasę typu single-track. www.strefamtb sudety.pl



FOT. ZEGNAW RABENOA



DO WODOSPADÓW JANA PAWŁA II

Wyprawa „Przez Najgłębszy Kanion Ziemi do Wodospadów Jana Pawła II” ma na celu uczczenie 35-lecia odkrycia kanionu Colca przez Polaków. Przez malowniczą dolinę Rio Colca uczestnicy dojadą do wioski Huambo (3330 m n.p.m.) na krawędzi kanionu, gdzie powitają ich uroczyście dzieci ze szkoły „Juan Pablo II”. Ścieżkami Inków pójdą do serca kanionu Colca – oazy Canco (1330 m n.p.m.), gdzie spotkają się z Indianami, którzy żyją tam jak przed wiekami. Przekroczą rzekę i dojdą do miejsca, gdzie Rio Colca spada Wodospadami Jana Pawła II, nazwanymi tak przez polskich kajakarzy w maju 1981 roku. Podczas trekkingu pokonają 25 km po ścieżkach biegnących nad przepaściami przy różnicy wysokości od startu do finisu dochodzącej do 2 km. Wyprawę poprowadzi Jerzy Majcherczyk, jeden z odkrywców kanionu Colca, potrwa ona od 25 czerwca do 5 lipca.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

CO MAJĄ WSPÓLNEGO DAVINA MCCALL, BRYTYJSKA PREZENTERKA TELEWIZYJNA, PROWADZĄCA PROGRAM „LIFE AT THE EXTREME”, I TOMEK MICHNIEWICZ, POLSKI DZIENNIKARZ, BACKPACKER, FOTOGRAF, RADIOWIEC I AUTOR KSIĄŻEK REPORTAŻOWYCH? TOMEK I DAVINA DOCIERAJĄ W NAJDALSZE ZAKĄTKI ŚWIATA, WYZNACZAJĄ SOBIE AMBITNE PODRÓŻNICZE CELE, ZNOSZĄ CIĘŻKIE WARUNKI, A POTEM W INTERESUJĄCY SPOSÓB RELACJONUJĄ TE WYPRAWY INNYM.



**PODRÓŻNICY
PODRÓŻNIKOM,
CZYLI
JAKĄ ODZIEŻ
SPAKOWAĆ
DO PLECAKA**



CRAGHOPPERS

World Travel Clothing

W ostatniej części serii „Life At The Extreme” Davina trafiła do kostarykańskiej dżungli, jednego z najbardziej wilgotnych miejsc na świecie, gdzie żyje ponad 500 tysięcy gatunków organizmów. Leniwce, tapiry, małpy, tarantule, węże, jaszczurki i trujące żaby – wszystkie te okazy miały szansę tam spotkać, podobnie jak niezliczone ilości owadów. Mając na sobie koszulę z długim rękawem Craghoppers, wykonaną w technologii NosiLife, mogła być jednak pewna, że komary i wszelkie inne owady gryzące nie uciążą jej krzywdy. Craghoppers jako jedyna firma w Europie ma w swojej ofercie produkty z trwałą impregnacją przeciw komarom. NosiLife ogranicza liczbę ugryzień nawet o 90%, co oznacza o 90% mniejsze ryzyko zachorowania na takie zagrażające życiu choroby, jak wirus Zika czy malaria. Repelent został trwale wpleciony w strukturę materiału i nie spiera się podczas kolejnych prai, jak to ma miejsce w przypadku innych produktów z ochroną przeciw moskitom. Zapewnia więc skuteczne działanie przez cały okres użytkowania odzieży, co potwierdzają badania wykonane przez niezależne laboratoria badawcze.

Ubrania marki Craghoppers w technologii NosiLife są noszone także przez pracowników Fundacji Dian Fossey w Centrum Badań Karisoke w Rwandzie, zajmujących się ochroną goryli górskich. Wszystkie typy goryli w Afryce są zagrożone głównie na skutek działalności człowieka, takiej jak kłusownictwo, przenoszenie chorób i niszczenie siedlisk, a goryl górski to unikatowy gatunek. Jest to największa małpa człekokształtna, występująca w górach Wirunga w deszczowych lasach środkowej Afryki na wysokościach dochodzących nawet do 4 tys. m n.p.m. Ponieważ prowadzą działalność w wilgotnym klimacie, gęstym lesie deszczowym i na dużej wysokości, pracownicy fundacji potrzebują zestawu odzieży, na którym mogą polegać. Craghoppers

spełnia to zadanie i dzięki temu przyczynia się do rozwoju wiedzy na temat goryli górskich i ich ochrony.

Innym zagrożonym wyginięciem afrykańskim gatunkiem są czarne nosorożce. Rezerwat Imire, prowadzony przez rodzinę Traversów z Zimbabwe, jest jednym z niewielu ośrodków zajmujących się podtrzymaniem ich populacji. Od kilku lat w pomoc dla Imire zaangażowany jest Tomek Michniewicz organizujący publiczne zbiórki funduszy na sprzęt, który ochroni to miejsce przed powtarzającymi się atakami kłusowników. Budowa odpowiednich ogrodzeń, wprowadzenie systemu monitoringu, dron z termowizją, latarki, lornetki, krótkofalówki, GPS-y, panele słoneczne, mundury, buty – potrzeby są ogromne, ale liczy się każda pomoc i wsparcie. Na apel odpowiedziała firma Craghoppers, która przekazała pełne umundurowanie dla pracowników parku – 70 kompletów odzieży, m.in. koszule NosiLife i z ochroną UV, spodnie oraz cieplejsze bluzy i polary. Odzież została zarekomendowana przez Tomka Michniewicza, który sprawdził ją na podróżniczych szlakach.

Jakość i funkcjonalność produktów tej marki potwierdza także Bear Grylls, były żołnierz brytyjskich sił specjalnych, instruktor skautingu i popularyzator sztuki przetrwania, znany z wielu programów telewizyjnych. Craghoppers produkuje szeroką gamę odzieży opartej na jego własnych projektach, używanej potem w najbardziej ekstremalnych warunkach przez niego i wszystkich, którzy zakupią serię sygnowaną jego nazwiskiem. Bo Craghoppers to nie tylko niezawodna odzież w tropiki, a NosiLife to nie jedyna innowacyjna technologia stosowana przez markę. Dość powiedzieć, że historia Craghoppers ma swój początek... na Evereście. W 1965 roku, w czasach kiedy królowały wełniane płaszczki, a przed deszczem najlepiej chroniły parasole, grupa zapaleńców z West Yorkshire w Anglii

poszukiwała rozwiązań, które wytrzymają najtrudniejsze warunki panujące w górach wysokich. Udało im się zaprojektować ubrania, które były w stanie ochronić ich przed ekstremalnym zimnem, a wyprawa zakończyła się sukcesem. Od tamtych czasów nic się nie zmieniło. Odzież Craghoppers nadal jest tworzona przez podróżników i poszukiwaczy przygód, wyruszających w świat, by czerpać inspiracje do tworzenia innowacyjnych i lekkich ubrań, które zarówno sprawdzą się w czasie monsunu, jak i ochronią przed ukąszeniami komarów. Udoskonalane są technologie, ale u podstaw filozofii marki tkwi to samo założenie: odzież zawsze ma chronić przed niesprzyjającymi warunkami – czy to zimnem, czy wysokimi temperaturami.



Obojętnie, czy wędrujesz w górach Szkocji, obserwujesz niedźwiedzie polarne w Arktyce, czy przedzierasz się przez dżunglę – wśród asortymentu Craghoppers znajdziesz zestaw odzieży odpowiedni dla siebie i warunków, w jakich przebywasz. Davina McCall, Tomek Michniewicz i Bear Grylls już się o tym przekonali.



FOT. TADEUSZ NAGALSKI

Tadeusz Nagalski

JAK ZOSTAŁEM MKUBWĄ

Kiedy wróciłem z ciekawej podróży do Iranu i znów zasiadłem do faktur w moim miejscu pracy, wszystko wydało mi się banalne i szare. W końcu opuściłem biuro. Po przeciągającym się bezrobociu natrafiłem na ogłoszenie w internecie. Wysłałem CV, potem była rozmowa i wszystko potoczyło się szybko. Podjąłem pracę w...
Sudanie Południowym.

Niewiele wiedziałem o Sudanie Południowym oprócz tego, że jest to najmłodszy kraj na świecie, powstały w lipcu 2011 roku. Na decyzję miałem tydzień. Zrobiłem research wśród byłych pracowników tej firmy oraz na temat sytuacji politycznej kraju. Dowiedziałem się, że Sudan Południowy po 50 latach wojny domowej odłączył się od Sudanu. Północ, ze stolicą w Chartumie (to miasto akurat kojarzyłem z „W pustyni i puszczy” oraz opisaniami powstania Mahdiego), jest muzułmańska, Sudan Południowy natomiast, ze stolicą w Dżubie – chrześcijański.

Dziesięć miesięcy przed moim przylotem doszło do nieudanego zamachu stanu wywołanego przez wiceprezydenta, który nie może dojść do porozumienia z prezydentem. Powiedziano mi jednak, że w Dżubie jest bezpiecznie, stacjonują tam siły Misji Narodów Zjednoczonych (UNMISS), mieszka dużo białych, a Sudańczycy są przyjaźni.

PAN ADMINISTRATOR

Firma była głównym wykonawcą budynku ministerstwa, a w momencie mojego przyjazdu – administratorem postawionego przez siebie gmachu. Na terenie ministerstwa znajdował się również *camp*, gdzie miał się znajdować mój dom. Stały namioty wojskowe, domki z pustaków, dużo maszyn, betoniarek, koparek i kontenerów. Oprócz tego dwa niewielkie budynki – sanitariaty i kuchnia. Mieszkańcami *campu* byli pracownicy obsługi, głównie z Kenii, oraz nieliczni miejscowi. Na miejscu zastałem także dwóch Polaków: elektryka i mechanika od sprzętu budowlanego.

Miałem więc administrować budynkiem, zarządzać ludźmi, wypłacać pensje, dbać o zaopatrzenie oraz... organizować produkcję betonu. Dla mnie był to kosmos, ale mogłem wreszcie wydostać się z biurowego odrętwienia.

Budynek, którym administrowałem, korzystał z dwóch studni głębinowych, natomiast prąd dostawał z generatorów, które należało szczególnie nadzorować. Była to codzienna walka ze słońcem oraz lęk, czy urządzenia się nie przegrzeją. Skutkiem awarii mogła być na przykład przerwa w działaniu systemów klimatyzacyjnych. Niepokój



budziła również woda – czy aby jej nie zabraknie? Bo wtedy pozostawało przywożenie jej cysternami z Nilu i reglamentacja! Wtedy też – koniec podlewania trawy i ledwie wyhodowanego ogrodu.

Najcięższy był pierwszy tydzień. Nie rozpoznawałem ludzi i nie rozumiałem, co mówią (specyfika suahili English). Poza tym upał – czułem się jak w piecu, a przecież z Polski wyjechałem w grudniu. Każdy dzień był bardzo intensywny, bo ciągle uczyłem się nowych obowiązków. Skończyła się anonimowość, zacząłem rządzić i odpowiadać za innych, co mnie uskrzydlało i nakręcało. W ten sposób ja, biały człowiek, zwany tutaj *haladziq*, zostawałem... *mkubwaq*. Tak właśnie w języku suahili nazywa się zarządcę.

CZŁOWIEK Z BETONU

Przyleciałem tuż przed świętami. Mój nowy kolega z Polski, pracujący tu na miejscu, wyjechał na Boże Narodzenie do narzeczonej w Ugandzie. Tak więc po krótkim przeszkoleniu zostałem w nowej rzeczywistości sam, a moim pierwszym wyzwaniem – w ramach kontraktu z UNMISS – była produkcja i dostawa betonu. Na środku *campu* stała nieznaną mi wcześniej konstrukcja *batching plant* – instalacja do mieszania betonu, czyli miksowania cementu, wody i żwiru. Tego ostatniego mieliśmy zapas, a wodę zamawialiśmy beczkowitzem z Nilu. Obsługą mieszalni zajmował się nasz kierowca.

Najpierw pojechaliśmy do Dżuby. Wcześniej polski kolega powiedział, gdzie mamy kupować i ile powinien kosztować worek cementu. Miałem dużo tzw. sudanistów, czyli tutejszych funtów, bardzo wysłużonych banknotów w dużej ilości i z trudnym przelicznikiem. Nauka szybkiego liczenia zwitków w jednej ręce była podstawową umiejętnością, którą musiałem opanować od razu. Na podmurówce stał sklecony blaszany hangar, skąd tragarze o dość drobnych posturach wynosili na głowach 60-kilogramowe worki.

– telefon do UNMISS z informacją, że wysłał im zamówienie. Na koniec faktura. I tak było przez trzy dni z rzędu.

SPRZĄTANIE, GOTOWANIE, ZARZĄDZANIE

W biurówcu sprzątały trzy kobiety. Dwie Ugandyjki (pomimo biedy i wojny Sudan Południowy przyciąga ludzi szukających pracy z Kenii czy Ugandy) i jedna Sudanka, mówiąca jednak tylko po arabsku. W celu uniknięcia konfliktów ułożyłem im grafik tak, aby żadna nie miała wrażeń, że robi więcej od koleżanki. Jedna z nich przynosiła na plecach małe dzieci, które chodziły za nią na bosaka po zimnych i lśniących posadzkach ministerstwa. Zacząłem też od tego, że najpierw sam sprzątnąłem, żeby pokazać, jak należy to robić, no i przy okazji zaskarbić sobie ich zaufanie. Oprócz sprzątaczek byli jeszcze pomocnicy tnący tasakami trawę i podlewający rachityczne sadzonki. Stosunki międzyludzkie bywały skomplikowane, a wynikały też z różnic etnicznych i pojawiających się na tym tle animozji.

No i jeszcze kuchnia oraz zaopatrzenie. Razem z kucharką robiliśmy szacunki wydatków, które musiałem przedstawiać w budżecie na kolejny tydzień. Razem też omawialiśmy, co można zmienić czy usprawnić. Kucharka pochodziła z Kenii, zarabiała na edukację córki, bo jej marzeniem było, żeby latorośl pracowała kiedyś w Europie. Miała małe pojęcie o gotowaniu, ale była bardzo bystra. Nie znałem tamtejszej kuchni i nikt też nie starał mi się wytłumaczyć, na czym ona polega. Co miałem robić?! Nauczyłem Kenijkę przygotowywać nasze mielone i wychodziły jej genialnie.

Tutejsze jedzenie nie jest zresztą skomplikowane. Fasola (*dziamdziaru*) z jakimś sosem i trochę zapychaczy, jak zupełnie bezsmakowe *ugali* (rodzaj mamałygi). Czasem jednak zdarzy się coś lepszego, jak potrawy ze zrywanej zieleniny, która służy do mięsnych sosów czy zup. Za to miejscowe bary gastronomiczne mają niepowtarzalny klimat. Na ulicach, pod prowizorycznymi daszkami, w dużych kotłach z olejem skwierczą na paleniskach kurczaki. Po zjedzeniu myje się ręce ciepłą wodą z rozgrzanych słońcem kanistrów wyposażonych w kraniki.



CZYSTA WODA ZDROWIA DODA

Dzięki działającym od niedawna destylarniom stolica Sudanu Południowego, Dżuba, nie cierpi na brak wody. Na zdjęciu – uliczna sprzedaż hurtowa prosto z rampy.

Po powrocie było mieszanie, zamawianie cysterny i ulga, kiedy wszystko było już na miejscu. Potem – szybkie przelewanie gotowego produktu do betoniarki i wysyłka do miejsca docelowego. Jeszcze tylko wręczenie kierowcy listu przewozowego, do podpisania przez odbierającego, oraz pieniędzy na benzynę i na ewentualny mandat dla policji (nigdy nie wiadomo za co, ale przeważnie w tej samej wysokości). Po odprawieniu betoniarki

Obiady były koło południa, po nich następowała godzinna przerwa, w trakcie której oglądano dostępne kanały telewizji, o dziwo prawie wyłącznie chińskie. Bywały telenowele z napisami, ale... również chińskimi. Nikomu to nie przeszkadzało. Organizowaliśmy jednak i seanse filmowe z rzutnika, które cieszyły się dużym powodzeniem.

kciuki, bo był ambitny i miał cel, a właśnie w rękach podobnych ludzi powinny spocząć przyszłe losy tego kraju.

Brak perspektyw, różne niedobory i zmieniające się ceny sprawiają, że ludzie w Sudanie Południowym żyją, nie myśląc o przyszłości. Żeby tylko było jedzenie i wystarczyło wody... Wodę z Nilu kobiety noszą na głowach



FOT. VLAD KARAWAY - SHUTTERSTOCK

Wartowników miałem dwóch – jeden z plemienia Dinka, z poprzecznymi nacięciami na czole, z wyglądu groźny. Jego obowiązkiem było nocne patrolowanie z karabinem obiektu, co miało nas ustrzec przed rabusiami. Drugi w wolne niedziele uczył się rachunkowości. Mówił, że chce skończyć szkołę i awansować, ale sam chyba w to nie wierzył, skoro stanowiska w służbach publicznych rozdaje się tu głównie po znajomości. Trzymam za niego

w czarnych kamionkowych dzbanach bądź kanistrach. Piękne Sudanki są tu prawdziwymi bohaterkami dnia codziennego.

KOZA ŚWIĄTECZNA

Ważnym testem były święta Bożego Narodzenia. Zapytałem, jak je obchodzą. Wigilia nie ma tam takiej rangi jak w Polsce. Najważniejszy jest 25 grudnia, kiedy to na

OBUWNICZY

Sudańczycy są towarzyscy, często się spotykają, skracają dystans nawet z obcymi i chętnie rozmawiają. Przy tym stylu bycia trudno zorientować się: pracują czy mają wolne.



FOT. JOHN WOLLWERTH - SHUTTERSTOCK

CO MOŻNA Z BUTELKAMI

Dzieci w tym biednym kraju są serdeczne, bez troski i kreatywne w swoich zabawach.

grillu przyrządza się *nyame chome*, czyli po prostu kozę. Żeby ją kupić, pojechaliśmy na pobliski targ.

Nasz *camp* znajdował się blisko centrum Dżuby, w dzielnicy Gumbo, na skrzyżowaniu z główną trasą prowadzącą do granicy z Ugandą. Jedyne takie asfaltówki w Sudanie Południowym przecina się z piaszczystą drogą, która z kolei prowadzi na Bor – rejon walk armii prezydenckiej z wiceprezydencką. W Dżubie dominuje zabudowa w postaci małych domków z blachy falistej, czasem z bambusowymi ogrodzeniami. W tej pozornej nędzy można jednak znaleźć restauracje ze smaczną etiopską kuchnią czy hotele z basenem. Na znajdującym się jeszcze po naszej stronie Nilu targu bydła oprócz kóz stały wszechobecne w tym kraju krowy. Wielkie, chude, garbate, z rogami ponad półmetrowymi. Podobno kobiety z najważniejszego i najliczniejszego plemienia Dinka są tak cenione przez swoje rodziny, że ich cena opiewa niekiedy aż na kilkaset krów. Jest to oczywiście kwota absurdalnie wysoka, więc młodzi wolą żyć na kocią łapę.

Sprzedaż bydła na targu jest prowadzona agresywnie. Ale tylko tam, ponieważ Sudańczycy są narodem dumnym i nigdzie indziej nie spotykałem się z handlowym nagabywaniem. Nasz samochód otoczyło mnóstwo wyrostków trzymających na powrozach większe lub mniejsze kozy, gestykulujących i żywiołowo pokrzykujących. Zdałem się na moich towarzyszy, bo oni wiedzieli, która koza zadowoli ich podniebienia. W końcu udało się taką wybrać, a czas jej, biedaczki, został policzony. (Następnego dnia, aby mi dogodzić, kucharka przyrządziła z niej wątróbkę, zresztą bardzo smaczną).

Na świątecznym *campie* zapanowało rozprężenie. Pojawiło się piwo i mnóstwo obcych. Ponieważ miejscowi słabo rozumieją takie pojęcia, jak własność czy prawo, w kuchni pracowniczej stawiono się mnóstwo „krewnych i znajomych królika”, praca kucharki zaś stała się prawdziwym koszmarem.

W Nowy Rok obudziły mnie radosne salwy z żołnierskich karabinów, w tym naszych strażników. Na termometrze były 42 stopnie,

a my poszliśmy na transmisję meczu do dzielnicy Serekati, gdzie pełno bilardów, pubów z miejscem do tańczenia oraz dźwięków afrykańskiego chilloutu. Błazniane baraki i dużo ludzi. Na ekranach telewizorów sam obraz bez dźwięku, za to na cały regulator włączona muzyka, co wcale nie przeszkadzało kibicom rozgrywek. Kelnerki z gracją pomieszana z nonszalancją lawirowały pomiędzy stolikami i rozwalonymi przy nich mężczyznami. Pito rodzime piwo Nile.

BRUDNY JAK BIAŁY BUDOWLANIEC

Po mojej stronie Nilu sawanna była poprzecinana drogami. Tu wyrasta małe centrum z kilkoma baraczkami – to początek Dżuby 2, która przyciąga mieszkańców jak magnes i stale się poszerza. Nigdzie nie ma koszy, wszystko rzuca się na ziemię, potem sklepikarze wygarniają to na bok i podpalają. Tak powstaje zapach Afryki – zaduch,



CZEKAJĄC NA DOŁĄDOWANIE

W większości tutejszych domostw nie ma prądu, ale komórki mają prawie wszyscy. Problem rozwiązują punkty z prostym systemem doładowań. Na zdjęciu czerwony pawilon Vivacella, jednego z dwóch potentatów miejscowej telefonii.

Nasze wyjście przerodziło się w prawdziwą noworoczną imprezę, bo jeden z mechaników ujawnił swoje taneczne talenty. Muzyka i tańce przeniosły się na zewnątrz. Jedliśmy grillowaną wieprzowinę. Była pyszna, ale nie wprowadziłem jej do menu – bałem się, po tym jak zobaczyłem, w jakich warunkach się ją sprzedaje na targu w Konyo Konyo. Później był jeszcze jeden lokal. Wtedy otrzymałem propozycję seksualną: „Honey, honey, give me money”. Nie skorzystałem.

śmieci i spalenizna. Sawanna jest nierówna, wszędzie ciernie i karłowate drzewa. Dlatego działki pod budowę domów są równane, a drzewka wycinane. Domy buduje się najczęściej na prostej konstrukcji z palików, w planie kwadratu. Ściany poprzecinane są poziomo małymi żerdziami. Puste miejsca wypełnia się gliną, która po wyschnięciu tworzy boki domu. Dachy, najczęściej całkiem nowoczesne, są metalowe i przeważnie w niebieskim kolorze.

**A DOPÓKI PŁYNIE,
SUDAN NIE ZAGINIE**

**Przecinający Dżubę Nil
przypomina nieco Wisłę
– też na tym odcinku
jest nieuregulowany.
Dla tego kraju
jest to prawdziwa
rzeka życia.**

Nasza firma postanowiła podbić rynek budowlany, więc wysyłano mnie w teren. Jeździłem, zawieszony na kabinie koparki (była jednoosobowa), z kierowcą i zarazem operatorem. Potencjalni klienci przywoływali nas machaniem rąk. Potem targowałem się, następnie inkasowałem pieniądze. Równocześnie operator oceniał, czy nasz sprzęt jest w stanie wykonać zlecenie. Trudno było cokolwiek ustalić, bo Sudańczycy zachowywali się trochę jak dzieci – wszystko musiało być natychmiast. Umówienie się na czas i na konkretną kwotę bywało skomplikowane. Kiedy miały uzgodnione godziny, nagle okazywało się, że chcą

jeszcze zniwelować sąsiednią łąkę albo nie rozumieją stawki godzinowej.

Kiedyś operator zaczął się sprzeczać ze zleceniodawcami, a było ich czterech i każdy ze sznycami na czołach, co wskazywało na przynależność do plemienia Dinka. W rękach trzymali maczety, którymi wcześniej poprawiali pracę spycharki. Zacząłem im tłumaczyć, że robotę możemy dokończyć jutro, że operator grzeje się w kabinie koparki już cały dzień... Argumenty nie trafiały, jeden machnął mi nawet ręką przed twarzą, dając wyraz swojemu niezadowoleniu. W końcu odeszli obrażeni. Sudańczycy są nad wyraz dumni, często używają słowa „respect” i łatwo ich urazić.



FOT. SHUTTERSTOCK

Któregoś razu pojechaliśmy na budowę taksówkami *boda-boda*, z dwoma klientami. Na miejscu była już nasza koparka. Gorąco jak zwykle, choć więcej drzewek, które dały jakiś cień. Ubrany byłem w białe dżinsy i koszulę, bo wcześniej miałem spotkanie z dyrektorem administracji w ministerstwie. Po skończonej pracy do transportu powrotnego mogliśmy użyć tylko naszego sprzętu budowlanego. Dlatego wszyscy, poza operatorem, przemierzaliśmy sawannę, stojąc na łyżce koparki – ja w moich niegdyś jasnych dżinsach, kurczowo trzymający się rantu, aby nie spaść. Jechaliśmy, a na ubraniach osadzały się resztki spalonych traw oraz czerwony pył sawanny, znany mi zresztą doskonale, bo codziennie czyściłem z niego swojego laptopa. Widok białego człowieka na łyżce koparki, w dodatku tak ubranego i coraz brudniejszego, wzbudził dużą wesołość wśród miejscowych.

MÓJ ŚWIAT NAD NILEM

Szerokość Nilu jest tu zbliżona do warszawskiej Wisły, a jego wybrzeże to najprzyjemniejsze miejsce w mieście. Jest sporo zieleni, dorodne drzewa dające cień. Rosną owoce mango, latają niebieskie kolibry, wielkie jaszczury przemykają pod korzeniami. Są również orły i jastrzębie, i to w ilościach, jakich nigdy nie widziałem. Od wody dociera ożywcza bryza. Czasem w niedzielę łowiłem tu ryby na zardzewiałej beczce. Jeździłem też rowerem wzdłuż Nilu.

W gąszczach przy rzece zamieszkuje mnóstwo ludzi, szczególnie od mojej strony Dżuby. Jadąc rowerem, mijałem wioskę za wioską, bez żadnej przerwy między nimi. Domy ulepione z gliny, kryte tylko suchą trawą, bez żadnych „unowocześnień”. Kiedyś zatrzymałem się i skryłem pod rozłożystym drzewem mangowym. Po chwili otoczyły mnie dzieci, które przybiegły, krzycząc rozentuzjasmowane: *haładzia, haładzia!* Fascynował je mój rower i aparat fotograficzny. Afrykańczycy są specjalistami w „patchworkowych” rodzinach. Mężczyznom w zapładnianiu kolejnych kobiet nie przeszkadzają ani chrześcijańska wiara, ani posiadanie żony. Dlatego dzieci jest tutaj dużo. Bawią się tym,

R E K L A M A

co sobie same wymyślą. Nie mają jeszcze rozbudzonych pragnień jak dorośli i zadowolone są z tego, co jest.

Dzieci z mojej wycieczki były roześmiane i niesamowicie pozytywne. Po prostu szczęśliwe. Chłopcy strzelali z luków do wszystkiego wokoło, a dziewczynki prowadziły ze mną rozmowy: „Skąd jesteś? Czy to daleko? Jak tam jest?”. Jak przykładowe gospodynie zerwały dla mnie mango i poczęstowały.

I tak oto poznawałem inne życie. Bez wielkich wymagań i komplikacji. Nielatwe, ale chyba radosne. Nawet mój irokez, wymślowany przez ludzi nieprzyzwyczajonych do inności, odszedł tu bardzo szybko do lamusa z całą resztą rzeczy, które przywiozłem ze sobą z Europy.

Trochę brakuje mi tego świata i jego prostoty. ○



Tadeusz Nagalski

Historyk i socjolog z Warszawy. Jego ciekawość odmiennych kultur zaowocowała podróżami do Iranu i Syrii. W Sudanie Południowym pracował prawie cztery miesiące. Pasjonują go podróże do miejsc, w których nie ma komercji turystycznej. Interesują go ludzie, którzy borykają się z codziennością, trudami klimatu czy reżimem.



Wielkimi krokami zbliża się lato. To dobra i zła wiadomość. Ciepłe dni i koniec szkoły wyznaczają nie tylko okres wakacji, ale też start podróżniczych licytacji.



MINISTERSTWO GŁUPICH PODRÓŻY

FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA

Wostatnie dni roku szkolnego moja wychowawczyni miała w zwyczaju przeprowadzać ankietę. Pytała nas o to, jak zamierzamy spędzić lato, a my odpowiadaliśmy podniesieniem ręki. Wczasy pod gruszą? Wizyta u krewnych? Kolonie? Zorganizowana rozrywka w mieście? Klasa dzieliła się na kilku bądź kilkunastoosobowe podzbiory. Nieliczni nieszczęśnicy ze spuszczonego wzrokiem zgłaszali się pod opcją „w domu”, a jeden czy dwóch wybrańców pod „wyjazdem zagranicznym”, czym budzili niemy podziw wśród reszty. Generalnie wystarczyło jednak oddalić się od domu choćby o rzut kamieniem, żeby przyzwyciężyć wypaść i mieć poczucie dobrze przeżytych wakacji. Niestety, tamte czasy bezpowrotnie minęły.

Choć wojaże są dziś łatwiejsze niż kiedykolwiek, pod pewnymi względami stały się nieporównanie bardziej skomplikowane. Od ekscytujących czasów odkrywców i podróżniczych pionierów

świat niesamowicie się skurczył i nie pozostawia wiele przestrzeni na nowe osiągnięcia. Podróże zaczęły przypominać tanie linie lotnicze: kiedyś luksus dla wybranych, dziś spowszedniała masówka. Globtroterzy gonią w piętę. Gorączkowo próbują dotrzeć tam, gdzie innych jeszcze nie było, odkryć przeoczone łądy i ukryte przed światem plemiona. Usiłują wymknąć się szponom turystycznego biznesu, by udowodnić sobie i innym, że podróżują lepiej, prawdziwiej, oryginalniej. A wszystko to z coraz marniejszym skutkiem. Bo dziś nie wystarczy po prostu wyjechać. Jeśli chcemy zrobić na kimkolwiek wrażenie, musimy zadać sobie więcej trudu.

Należy zacząć od pożegnania się z podstawowym mitem: wakacje nie są przeznaczone do wypoczynku. Przeciwnie, musi nam być trudno i niewygodnie. Im bardziej widowiskowo się namęczymy, tym lepiej. Z tego powodu wśród podróżników trwa rywalizacja o najbardziej osobli-

we sposoby przemieszczania. Tradycyjne formy komunikacji budzą dziś co najwyżej uśmiech politowania. Nie tędy droga. W dzisiejszych czasach musimy zdobyć się na większą finezję. Jeśli decydujemy się na wariant pieszy, to koniecznie boso lub na rękach, jeśli po szynach, to dreźną, jeśli pojazdem silnikowym, to niech to będzie rozpadający się grat przeczący prawu grawitacji, a jeśli rowerem, to co najmniej przez piaski afrykańskiej pustyni.

Nietuzinkowi Brytyjczycy Rich Sears i Nick Gough podjęli się przejechania 65 tysięcy kilometrów tuk-tukiem. Ich krajan, 19-letni Ed Pratt, postawił poprzeczkę wyżej i wsiadł na monocykl. Z kolei pewien emerytowany francuski strażak przymierza się do objechania globu na nartorolkach. Daleko w tyle zostawił ich wszystkich Australijczyk Reg Spiers, który w 1964 r. z braku funduszy na bilet potajemnie nadał się przesyłką lotniczą z Anglii do Perth i spędził 63 godziny lotu w drewnianej skrzyni w łuku bagażowym

samolotu (zachęcony transportowym sukcesem, zaczął się parać szmuglem narkotyków i skończył za kratkami).

Jeśli nie mamy pomysłu na oryginalny środek komunikacji, możemy próbować wyróżnić się bagażem. Rodzina Zappów od 15 lat podróżuje z powiększającą się gromadką dzieci (aktualnie z czwórka), które wtłacza do 85-letniego samochodu Graham-Paige. Do tej pory pokonali w ten sposób 200 tysięcy mil. Anglik Ben Sadd postanowił przejechać ojczyznę ze zwalistą sofą. Tony Hawks zwiedził Irlandię, taszcząc lodówkę, a Dave Nicoll pobit ten wynik, bo zabrał chłodziarkę w 9-miesięczną podróż przez Europę, Rosję, Azję, Australię, Nową Zelandię i Amerykę.

Kolejny klucz do sukcesu: niebanalna destynacja. Szerokim łukiem omijamy punkty, do których cokolwiek dojeżdża lub powszechnie uchodzące za atrakcyjne. Kto chce się poczuć pionierem i trendsetterem, musi iść pod prąd. Im dalej, dziwniej i brzydziej, tym bardziej będzie o czym opowiadać. Najlepiej wybierać się do miejsc, o których nie słyszeli nawet ich mieszkańcy. Wymarłe osady, skażone fabryki, cmentarze i wysypiska śmieci do bry trop. A jeśli u celu ze zdumienia przecierać oczy nie będziecie Wy, a tubylcy na Wasz widok, to znak, że jesteście w domu. Podczas wędrówki przez zapadłe syberyjskie wioski zdarzało mi się słyszeć od miejscowych: – *Kogoście tu zgubili, żeście tu przyjechali?* Dopiero z czasem pojęłam, dlaczego na dźwięk tych słów moi towarzysze wyraźnie puchli z dumy.

W dobrym tonie jest też narazić się na utratę zdrowia lub życia. Przedzierać się z maczetą w zębach przez dżunglę, zwisanie w śpiworze z przełęczą czy bliskie spotkania z dziką zwierzyną dostarczają ciekawych wrażeń i zagwarantują oryginalne zdjęcia, którymi bez obciachu będzie można pochwalić się przed publicznością. Pożądane są rany, ukąszenia i rozmaite uszczerbki. Warto wprowadzić wrócić żywym, żeby zdać mroźną krew w żyłach sprawozdanie, chyba że zadbam o pełnomocnika, gwarantującego szerzenie naszej legendy.

Nie wolno też zapomnieć, że każda wyprawa musi być po coś. Podróżowanie dla samego podróżowania to bezproduktywna strata czasu i obraza dla słuchaczy naszych powakacyjnych relacji. Kiedy wyjeżdżamy, nie pokazujemy się z powrotem bez bagażu konkretnych doświad-

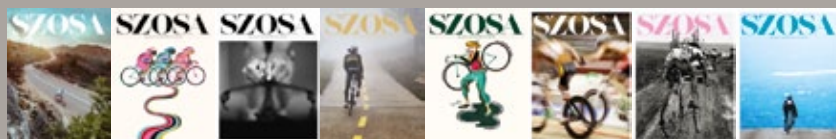
SZOSA

MAGAZYN PASJONATÓW KOLARSTWA



O rowerowej przygodzie czytaj w SZOSIE

NOWY NUMER W KIOSKACH



www.magazynszosa.pl

R E K L A M A

czeń i umiejętności. Jeśli jechać na wieś, to w pakiecie z dojeniem krów i przyrządaniem domowej kaszanki. Wyprawę na północ wzbogaćmy o kurs stawiania igloo, sprawiania foczych skór i wycinania przerębli, natomiast wizyty w obiektach sakralnych – o ścisły post i miesięczne śluby milczenia. Tkać, gotować, pleść, stepować – urlop to nie czas na objanie. Na koniec wpadnijmy na selfie do slumsów lub faweli, żeby dodać wojażom blasku humanitaryzmu.

Jakie są konsekwencje nieprzestrzegania powyższych zasad? Cóż, narażamy się na negatywną ocenę, jak w skeczu Monty Pythona, w którym młody adept sztuki głupich kroków usłyszał w poświę-

conym im ministerstwie, że jego chód nie jest wystarczająco głupi. Ewentualnie spędzimy zwyczajne wakacje, podczas których odpoczniemy, pozachwycamy się kiczowato piękną okolicą i będziemy się po prostu dobrze bawić. Po powrocie pamiętajmy tylko, żeby w pewnych kręgach pod żadnym pozorem się do tego nie przyznawać! ○

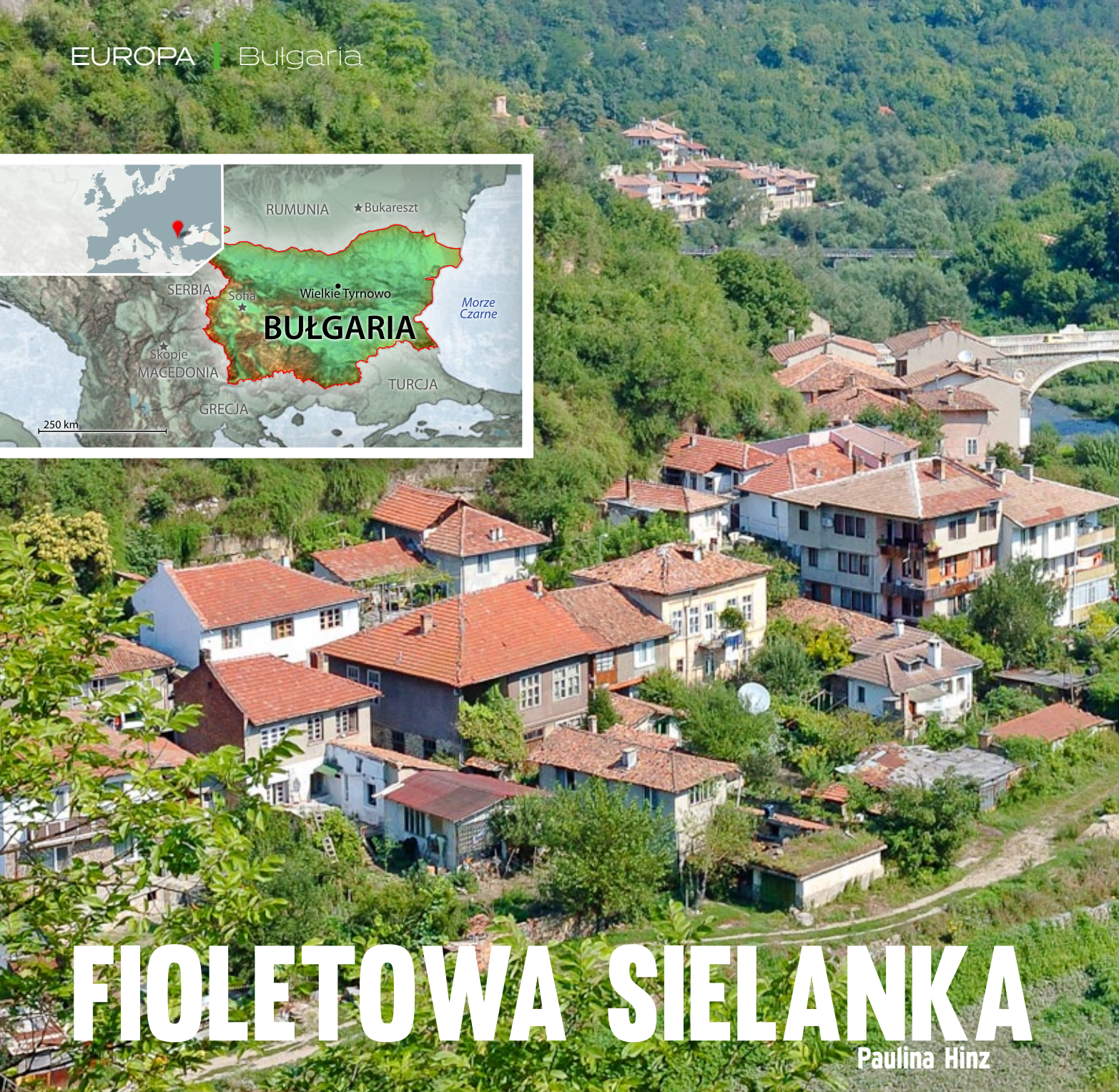
Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Prowadzi blog podróżniczy

www.zgubsietam.pl



FIOLETOWA SIELANKA

Paulina Hinz

NA BRZEGACH JANTRY
W Wielkim Tyrnowie na zboczach trzech wzgórz domy piętrzą się jeden na drugim. Czerwone dachy, bujna zieleń i rzeka Jantra tworzą malowniczy krajobraz.

Fioletowy kolor wdarł się pod paznokcie i pokrył Piotrowi prawie całe dłonie. Po dwóch dniach żmudnej pracy 150 kilogramów winogron w końcu przeszło przez pożyczoną od sąsiada niebieską metalową prasę. Jej wygląd nie pozostawiał wątpliwości, że uczestniczyła już w produkcji hektoli-

trów bułgarskiego wina. Owoce winorośli oplatającej dom Laury i Piotra były już tak dojrzałe, że nie można było dłużej zwlekać. Trochę to wszystko czasochłonne, ale pyszne domowe wino nie zrobi się samo, podobnie jak rakija, mocniejszy lokalny napój alkoholowy, który powstanie z wytłocznym po winogronach.



Życie Polaków na bułgarskiej wsi obfituje w wyzwania, ale Laura i Piotr nie zamieniliby go na inne. Jego rytm wyznaczają pory roku, a przyroda i pogoda dyktują rozkład dnia. Od nadmiaru sielanki można na chwilę uciec – na przykład do pobliskiego, malowniczo położonego miasta Wielkie Tyrnowo.

Odkąd trzy lata wcześniej postanowili zapuścić korzenie w małej bułgarskiej wiosce niedaleko granicy z Rumunią, ich życie toczy się zgodnie z porami roku i wokół kolejnych zbiorów. W czerwcu śliwki, we wrześniu jabłka, a gdzieś pomiędzy czuszki, czyli ostre bułgarskie papryczki. Wszystko znajduje kulinarne zastosowanie.

POCZULI MIĘTĘ

Piotr, usiłując zmyć z rąk fioletowe plamy za pomocą soku z cytryny, mówi, że dziesięć lat temu, kiedy jako tancerz baletowy, solista gdańskiej Opery Bałtyckiej, występował na światowych scenach, do głowy by mu nie przyszło, że kiedyś wybierze taki styl życia. – *A jednak* – śmieje się. – *Do-*



FOT. PAULINA HNZ

NA PÓŁNOCY BEZ ZMIAN
W niektórych wioskach
na północy Bułgarii
czas zatrzymał się
w miejscu – po
ulicach nadal jeżdżą
zaprzęgi konne.

piero teraz wiem, że znalazłem swoje miejsce na ziemi.

Ale jak doszło do tego, że on i Laura to miejsce wybrali? Na północy Bułgarii, z dala od większych miast i wcale nie blisko Morza Czarnego? Może zdecydował przy-

padek, a może tak było zapisane w gwiazdach. W lipcu 2012 roku razem z kolegą wyruszyli z Gdańska na rowerach. Celem był Stambuł, do którego zamierzali dotrzeć po niespełna dwóch miesiącach i 2500 kilometrach. Przemierzyli Polskę, Słowację i Węgry, rozbijając się z namiotem „na dziko” lub korzystając z gościnności napotkanych ludzi.

W Rumunii okazało się, że podróżuje z nimi jeszcze jedna mała osoba, która miała narodzić się za kilka miesięcy. Plany musiały ulec zmianie, a dotarcie do Stambułu przestało być możliwe. Postanowili jednak, z krótkim objazdem przez Serbię, dojechać jeszcze do Bułgarii. Pewnego dnia dotarli do niewielkiej wioski, w której zamierzali kupić wodę. Traf chciał, że przed jedynym sklepem spotkali parę Brytyjczyków, którzy kilka lat wcześniej osiedlili się w okolicy. Nowi znajomi zaprosili ich do rozstawienia namiotu w swoim ogrodzie. Rozbili się na polu mięty i to zapach tego zioła najlepiej pamiętają z pierwszej nocy. W rozmowach ze swoimi gospodarzami odkryli,

VINO DE LA CASA
Wokół domu Polaków
rosną bujne winorośle.
Obróbka 150 kg owoców
to nie lada wyzwanie,
ale goście campingu
Malka Polska docenią
ten wysiłek.



FOT. PAULINA HNZ

że wiele domów we wsi nadal jest do nabycia, i to w cenach niższych od ceny używanego samochodu w Polsce.

Nadal tak jest. Starsi ludzie wymierają, a młodszy migrują do miast w poszukiwaniu lepszego życia. Wioski pustoszeją, a chętnych na kupno domu w tym rejonie jest niewiele. Kilka kilometrów dalej jest wioska, w której na 100 domów przypada 50 mieszkańców.

Po tym, jak z czystej ciekawości obejrzeni kilka domów, decyzja zapadła niespodziewanie szybko. Następnego dnia Laura i jej towarzysze podróży stali już przed domem, który niebawem miał stać się ich własnością. Dwa dni później podpisali dokumenty u notariusza i można było się wprowadzać.

BARY I BARTERY

Kolejne trzy lata upłynęły w rozjazdach między Polską, Bułgarią i innymi krajami, ale wiosną 2015 roku Laura z Piotrem i córeczką ostatecznie osiedlili się na bułgarskiej wsi. Wyremontowali znaczną część domu i pro-

wadzą niewielki camping dla znajomych i ich znajomych. Zbierają śliwki, jabłka i winogrona. Pielęgnują ogródek ziołowy przed domem. Pięką bułgarską *banicę* (zwijany, zapiekany z białym serem placek). Robią cydr, zaprawę z czuszek i biorą udział w życiu wsi. Czasem wieczorem spotykają się z jej mieszkańcami na szklaneczkę rakii w jedynym barze połączonym z jedynym sklepem, przed którym się wszystko zaczęło.

Od czasu do czasu coś nowego zaskakuje Laurę i Piotra. Pewnego dnia poszli na chwilę do baru. Zauważyli, że taras zapełniali wyłącznie mężczyźni, którzy jak nigdy wcześniej w dziwny sposób przyglądali się Laurze. Po jakimś czasie jeden z nich pomógł im zrozumieć niezręczną sytuację. Był Dzień Kobiet! A w Dzień Kobiet to mężczyźni świętują i piją w barze za zdrowie swoich dam, podczas gdy damy, cóż, pozostają w domach.

Życie we wsi toczy się wokół baru. Tutaj wszystkie interesy omawiane są o 8 rano przy aromatycznej czarnej kawie. Tutaj też najlepiej widać etniczną mieszaninę, jaką tworzą ludzie

**MAŁE ULICZKI
WIELKIEGO TYRNOWA**
Wśród wąskich uliczek
Wielkiego Tyrnowa
kryją się niezwykle
urokliwe zakątki.





MAŁA POLSKA

Swój camping Laura i Piotr promowali na lokalnym festiwalu, częstując tradycyjnymi polskimi potrawami. Ich losy można śledzić na [facebook.com/MalkaPolsza](https://www.facebook.com/MalkaPolsza).

zamieszkujący te rejony – rodowite bułgarskie, ale także tureckie i romskie korzenie.

Handel barterowy jest silnie kulturowany. Potrzebujesz pomidorów? Chętnie oddam ci część moich, w zamian za trochę tej rakii, którą zrobiłeś. Chcesz pożyczyć moją kosiarkę do trawy? Nie ma problemu, może w zamian dasz mi trochę winogron?

TĘCZOWE MIASTO CARÓW

Na wsi jest przyjemnie, ale zmiana otoczenia co jakiś czas jest potrzebna. Od nadmiaru sianki można uciec do jednego z okolicznych miasteczek – mniej lub bardziej urokliwych, przy czym żadne nie równa się historycznemu Wielkiemu Tyrnowu. Miasto, znajdujące się w odległości kilkudziesięciu kilometrów od wioski, w której mieszkają Polacy, sprawia wrażenie spływającego po zboczach trzech wzgórz (Carewca, Trapezicy i Swetej Gory), na których leży. Domy piętrzą się jeden nad drugim w nierównych rzędach. Każdą wolną przestrzeń pomiędzy nimi wypełnia zielen. Laura i Piotr lubią tu przyjeżdżać, żeby zrobić zakupy, spacerować, spędzić wieczór w przyjemnej knajpce.

Tradycyjną bułgarską ceramikę kupują u Marii, która już od dwudziestu lat stoi za ladą sklepu przy ulicy Rakowskiej w centrum starego miasta. Laura przy każdej wizycie w mieście zaopatruje się w pamiątki lub przedmioty codziennego użytku właśnie u tej uśmiechniętej kobiety z burzą rudych włosów. Na wystawie ręcznie malowane miski różnej wielkości, talerze, kubki, garnuszki i cała masa innych przedmiotów, od solniczki, przez pojemniki kuchenne, aż po kufle piwne. Historia bułgarskiej ceramiki ma około 3000 lat. Kiedyś kobiety na wsiach używały do jej malowania jedynie zielonego, brązowego i żółtego koloru. Każda miała swój własny wzór, który wykorzystywała przy dekoracji przedmiotów. Obecnie liczba wzorów i kolorów jest ogromna, co znacznie utrudnia wybór, ale Maria zawsze pomoże w podjęciu trafnej decyzji.

Wielkie Tyrnowo jest popularnym celem turystów zagranicznych i Bułgarów, a kompleks twierdzy Carewec jest najczęściej odwiedzanym zabytkiem w Bułgarii. Budowę twierdzy, usytuowanej na wzgórzu o tej samej nazwie, rozpoczęto w XII wieku, kiedy Tyrnowo (ówczesna nazwa) zostało stolicą



odrodzonego państwa bułgarskiego. Dzisiaj można tu podziwiać fragmenty cerkwi i murów obronnych oraz roztaczające się ze wzgórza widoki na miasto i wijącą się u jego stóp rzekę Jantrę. Twierdza stanowi też sceneryę dla wieczornych pokazów „światło i dźwięk”, podczas których mieni się różnymi kolorami, przy akompaniamencie i w rytm tradycyjnej bułgarskiej muzyki.

Historyczne centrum miasta to Samowodska Czarszija. Sklepy z wyrobami rzemieślniczymi i antykami sąsiadują z odrestaurowanymi zabytkowymi budynkami z XIX wieku. Nad główną ulicą rozpostarto podłużne płachty materiału w kolorach tęczy – pomarańczowe, żółte, karminowe, błękitne, seledynowe. Chronią przed słońcem i nadają ulicy radosny charakter.

Wielkie Tyrnowo pnie się w górę wzdłuż przepływającej przez nie Jantry. Wąskie brukowane uliczki i stare schody prowadzą pomiędzy domami z dachami pokrytymi czerwoną dachówką. Liczące sobie kilka tysięcy lat miasto, leżące u podnóża pasma górskiego Stara Planina, kiedyś nazywane było Królem Miast i Miastem Carów. Duch tych czasów nadal jest w nim obecny.

Najbardziej kompletne mapy!

Zakład Kartograficzny
65-154 Zielona Góra,
ul. Dolina Zielona 28,
tel. 68 327 17 69,
www.sygnatura.com.pl

Polub nas na Facebooku
facebook.com/sygnatura.mapy

R E K L A M A

WSI WESOŁA

Z powrotem na bułgarskiej wsi, Laura i Piotr cieszą się, że są w domu. W chłodniejszy dzień napalą w piecu. W cieplejszy – rozważą wieczorne ognisko na polanie za domem, na które być może zaproszą brytyjskich i bułgarskich znajomych. W pogodną noc na niebie widać wszystkie gwiazdy, które mieszają się wtedy z iskrami strzelającymi z paleniska.

Jeśli nie zrobią ogniska, to zajrzą do baru przywitać się z mieszkańcami. Zamówią najpopularniejszy zestaw – czarną kawę i kieliszek aromatycznej rakii. Piotr umówi się z kimś, że podrzuci go w tygodniu samochodem do pobliskiego miasteczka. Laura podpyta bułgarską przyjaciółkę o udoskonalony przepis na *banicę*. A następnego dnia wrócą na chwilę do obróbki winogron i fioletowych rąk. ○



Paulina Hinz

Odwiedziła 30 krajów, niektóre wielokrotnie. Mieszkała w Indiach i we Francji. Zwolenniczka pozytywnego myślenia. Czasem podróżniczką, czasem turystką, zawsze ciekawa nowych miejsc, ludzi i zwyczajów. Autorka anglojęzycznego bloga www.MyTravelStock.com.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



DOLINĄ CIEMIĘGI



Powiat lubelski to kraina malowniczych i urzekających krajobrazów. To tutaj stykają się trzy najpiękniejsze krainy geograficzne: Wyżyna Lubelska, Polesie i Roztocze. Atrakcją dla turystów jest niezwykła różnorodność krajobrazu – równiny porośnięte suchymi borami sosnowymi na obszarze Równiny Bełżyckiej, strome lessowe skarpy doliny Bystrzycy, liczne wąwozy lessowe na terenie Płaskowyżu Nałęczowskiego oraz wysokie wzniesienia i nisko położone, kręte, niezwykle malownicze doliny rzeczne. Powiat lubelski to również stale rozwijająca się baza noclegowo-gastronomiczna, a przede wszystkim serdeczni i gościnni ludzie.

Dolina Ciemięgi to jedna z pięciu weekendowych wycieczek po powiecie lubelskim. Szlak liczący 30 kilometrów można pokonać zarówno pieszo, jak i rowerem. Wyruszamy z Lublina, z pętli autobusowej przy ul. Zbożowej, poruszamy się żółtym szlakiem. Kierujemy się w stronę Jakubowic. Za Snopkowem wkraczamy na teren najcenniejszych przyrodniczo terenów. Tylko tutaj w Polsce (poza okolicami gór) można zobaczyć olszę szarą, paprotnik Brauna i zanokcicę skalną. Obszar Chronionego Krajobrazu Dolina Ciemięgi ciągnie się 15 kilometrów, od Snopkowa do Sobianowic. W okolicach tej drugiej miejscowości Ciemięga wpada do Bystrzycy.



Dwór Anna – budowla rezydencyjna, w której mieści się hotel i restauracja.

W Jakubowicach Konińskich warto stanąć na pierwszy przystanek, by napić się czegoś zimnego i zaspokoić pierwszy głód w Dworze Anna. To robiąca duże wrażenie gotycko-renesansowa rezydencja, w której mieści się jedna

z najpopularniejszych restauracji okolic Lublina. Jadąc dalej wzdłuż Ciemięgi, trafimy do stadniny koni Arizona. To swoisty hotel – pensjonat dla koni, które właściciele oddają na przechowanie: stadninę można zwiedzić i podziwiać piękne wierzchowce.

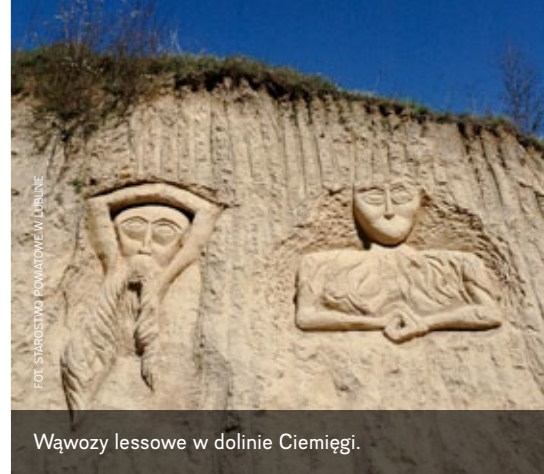
W czasie wycieczki wzdłuż Ciemięgi dotrzemy w końcu do drogi Lublin – Lubartów. 3 kilometry na północ, w kierunku Niemiec wystarczy skręcić w prawo w kierunku miejscowości Leonów, aby dotrzeć do minizoo o nazwie Zwierzyniec Park Rozrywki. Powstało w pobliżu Niemiec jako przytulisko i schronienie dla rannych dzikich zwierząt. W minizoo są wielbłądy czy kangury, które raczej na wolność już nie wrócą, za to są szczęśliwe, jeśli ktoś od czasu do czasu je pogłaszcze. Dzieci mogą tutaj spróbować jazdy na huculskich konikach, a dorośli – wyszaleć się na quadach.

Ze Zwierzynca w Leonowie kierujemy się na Nasutów. Czeka tam bardzo przyjemne gospodarstwo agroturystyczne U Grażki, które leży na skraju Kozłowieckiego Parku Krajobrazowego. Możemy przy tym liczyć, że właściciele przygotują dla nas ognisko czy rosyjską banię. Po śniadaniu będzie na nas czekać konna bryczka, którą pojedziemy do pałacu w Kozłówce. Przez chwilę pocujemy się niczym hrabiowie z rodu Zamoyskich,



51°17'N 22°41'E

Dolina Ciemięgi położona jest kilka kilometrów na północ od Lublina.



Wąwozy lessowe w dolinie Ciemięgi.

do których należał ten piękny pałac i okoliczne ziemie. Kozłówka to jeden z najpiękniejszych pałaców w Polsce. Wnętrza są zachowane w doskonałym stanie i ukazują przepych rodowej rezydencji. W drodze powrotnej do Ciemięgi można zatrzymać się na moment w Krasieninie, by zobaczyć zabytkowy dwór z XIX wieku. To typowy przykład ziemiańskiej siedziby sprzed niemalże 200 lat. Co ważne, zachował się on w całkiem dobrym stanie.



Amfiteatr przy zespole dworskim w Krasieninie.

WŚRÓD STARYCH MŁYNÓW

W środkowej części Chorwacji, w pobliżu miejscowości Slunj, leży Rastoke. To często pomijane przez turystów, a warte uwagi miasteczko, w którym można zaobserwować wyjątkową symbiozę fantastycznych twórców natury i ludzkich osiągnięć technologicznych. To tu rzeka Slunczica wpa-



FOT. SHUTTERSTOCK

da do położonej kilkadziesiąt metrów niżej Korany (która płynie także przez Jeziora Plitwickie). I nie jest to jedyny wodospad w tej okolicy. Te wyjątkowe warunki naturalne człowiek postanowił wykorzystać wiele lat temu (już w XVIII w.) i tak powstały liczne młyny wodne. Ich bu-

dowa przyczyniła się do rozwoju gospodarczego regionu. Dzisiaj kilka z nich można zwiedzić w skansenie. Wszystkie młyny i domy w miasteczku zostały zbudowane w unikalnym stylu tego regionu, z dachami pokrytymi gontem lub dachówką.

Mieszkańcy Rastoke uprawiali również len i konopie, a tkactwem zajmowały się głównie kobiety. Kilkanaście wy-

 45°07'N 15°35'E

Rastoke leży 23 km na północ od Parku Narodowego Jezior Plitwickich.



FOT. SHUTTERSTOCK

sepek utworzonych przez nurty rzek połączono mostkami, co sprawia, że miasteczko jest wyjątkowo urokliwe i malownicze. Region oferuje wiele atrakcji sportowych, takich jak pływanie, kajakerstwo, rafting, wędkarstwo, łowiectwo i kolarstwo górskie. Popularna stała się też turystyka piesza, konna oraz zwiedzanie jaskiń.

Z mitosnej piosenki

Portofino to jedna z najbardziej ekskluzywnych małych miejscowości wypoczynkowych we Włoszech. Leży nieopodal Genui, w najdroższym rejonie kraju – Ligurii. Miasteczko zamieszkuje zaledwie 600 mieszkańców, ale w sezonie zjeżdżają i przybywają tu tłumy turystów. Portofino słynie z malowniczego portu, zabytków oraz z tego, że jest ulubionym miejscem na spędzenie wakacji gwiazd i artystów. Miasteczko skupia się wokół małego portu, w którym obok rybackich łodzi stacjonują jachty warte miliony. Jednym z bardziej znanych zabytków jest kościół San Giorgio, w którym podobno znajdują się szczątki św. Jerzego, według legendy przywiezione tutaj przez miejscowych korsarzy w XII wieku.

W 1954 roku na dnie morza w okolicy Portofino, na głębokości 17 metrów zatopiono rzeźbę Chrystusa. Dwupółmetrowy posąg z brązu został stworzony przez Guido Gallettiego jako realizacja pomysłu włoskiego pływaka i nurka Duilio Marcantego. Pomnik zatopiono w pobliżu miejsca, gdzie w 1947 roku zginął Dario Gonzatti, jeden z włoskich pionierów nurkowania. Ponadto warto zobaczyć niewielki



FOT. SHUTTERSTOCK

barokowy kościół Świętego Marcina i oratorium Santa Maria Assunta w stylu gotyckim.

O Portofino śpiewały Sława Przybylska, Anna German, Katarzyna Groniec oraz Magda Umer.

 44°18'N 09°12'E

Portofino leży 45 km na wschód od Genui.

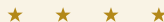
Wakacyjny wypoczynek w Białowieży!

Skorzystaj z promocji „Słońce nad Żubrówką”

Piękne otoczenie przyrody,
komfortowe warunki pobytu,
wiele atrakcji dla dzieci i dorosłych
- najpiękniejsza puszcza Europy czeka na Ciebie!



Hotel Żubrówka



Białowieża

Rezerwacja i informacje:

+48 85 68 29 400

www.hotel-zubrowka.pl



Maria Giedz

CORPUS CHRISTI W CUZCO

Nie ma czytania fragmentów Ewangelii, za to odmawia się różaniec. Procesja z monstrancją to tylko preludium do świętowania. Trzonem uroczystości święta Corpus Christi są procesje świętych i Matek Boskich, a raczej tańce z owymi świętymi. Kulminacją jest spożywanie *chiriuchu*, specjalnej „bożocielnej” potrawy sprzedawanej głównie na Placu Franciszkańskim w Cuzco.





WIELKI ANTONI

Procesja ze
św. Antonim Abado
(Wielkim). W tle
widać zniszczonego
po schodach katedry
w Cuzco św. Hieronima.

PRZEPRAWA ZE ŚW. KRZYSZTOFEM

Rzeźba św. Krzysztofa jest bardzo ciężka, bo składa się nie tylko z postaci świętego trzymającego na ramieniu Pana Jezusa, ale także kawałka rzeki z rybkami, żabkami i kaczkami, przez którą przechodzi.



Większość świąt katolickich na całym świecie obchodzi się dość podobnie. Tak samo powinno być z Bożym Ciałem, jednym z głównych świąt Kościoła katolickiego, którego data jest ruchoma, obliczana na 60 dni po Wielkanocy. Wypada zawsze w czwartek, po uroczystości Trójcy Świętej. Jednak w każdej regule pojawia się wyjątek. Takim wyjątkiem jest Peru, gdzie jeśli w ogóle świętuje się Boże Ciało, to w niedzielę. Chyba że jesteśmy w Cuzco – jedynym miejscu w Peru, gdzie Boże Ciało obchodzi się w czwartek. Pomimo nazwy tego święta – *Corpus Christi* – czyli Ciało Chrystusa, jest to uroczystość bardziej maryjna, a przede wszystkim oddająca hołd kilkunastu świętym.

420 tys. osób. Jednak podczas święta liczba mieszkańców co najmniej się podwaja. Przybyszami na *Corpus Christi* nie są Europejczyki czy amerykańscy turyści, lecz miejscowi z piętnastu dekanatów prowincji Cuzco, a także przyjezdni z innych regionów Peru oraz ościennych krajów latynoskich – czyli swoi.

MIĘSNA WIGILIA

Cuzco jest zarówno miastem, jak i prowincją usytuowaną w południowym Peru. Leży na wysokości 3399 m n.p.m. Uznawane jest za stolicę zabytków archeologicznych obu Ameryk i centrum turystyczne kraju. Jest też najstarszym zamieszkanym miastem w Ameryce (od ok. 3 tys. lat temu), gdzie w poł. XIII w. pojawili się Inkowie i ustanowili je swoją stolicą (lata 1438–1533). Dzisiaj w Cuzco mieszka

SZTANDAR ŚW. SEBASTIANA

W procesji niesie się również sztandary i chorągwie. Ten pochodzi z parafii p.w. św. Sebastiana.



Świętowanie rozpoczyna się w wigilię *Corpus Christi*. Wtedy to do miasta docierają pielgrzymi w towarzystwie swoich patronów – dużych, ciężkich drewnianych rzeźb, na co dzień stojących w kościołach parafialnych. Po ustawieniu owych figur przed katedrą, wznoszącą się przy Plaza de Armas (główny plac miasta), udają się w rejony kościoła św. Franciszka, gdzie serwowane jest *chiriuchu*.

Jedzą to wszyscy. Na talerzu lądują: *cuy*, czyli świnka morska (ponoć znakomicie zapobiega zachorowalności na raka), algi morskie, kawałek kury, coś pikantnego, ikra rybia, ciasto nasączone olejem, ser, kielbasa, flaki, prażona kukurydza, kiszka i papryka. Z każdego produktu należy utorować niewielki kawałek

po dwa barwne ołtarze, pełne świecidełek i innych ozdóbek, które stawia się *pro forma*, bo tak nakazuje zwyczaj.

WSZYSCY ŚWIĘCI

Procesja rozpoczyna się o godzinie dziesiątej, na schodach katedry, typową mszą kreolską koncelebrowaną przez kilkunastu duchownych. Niektóre modlitwy śpiewa się w języku keczua. Fragmenty tych śpiewów, wykonywane przez stare kobiety, przypominają popiskiwanie *chaina*, małych lokalnych ptaszków żyjących stadami. We mszy nie bierze udziału zbyt wiele osób. Główny plac miasta jest zaludniony tylko wokół katedry.



TAŃCZĄ W IMIĘ BOŻE

Każda parafia w diecezji Cuzco ma swoje regionalne stroje i swoje tańce, które prezentuje przed własnym świętym podczas procesji Bożego Ciała lub w jej oktawie.

i wszystko razem włożyć do ust, rozgryźć, przeżuć i dopiero potem połknąć. Smak jest nietypowy i dla Europejczyków trudny do zaakceptowania, ale w połączeniu z piwem nie powoduje sensacji żołądkowych. Spożywanie *chiriuchu* powtarza się w poranek Bożego Ciała i po tygodniu, czyli w kolejny czwartek.

Jeszcze tego samego dnia, a raczej nocą, w wielu miejscach starego Cuzco zbierają się grupki tancerzy i muzyków, przygotowujących się do występów procesyjnych. Przed katedrą oraz przed kościołem jezuitów wznoszone są

Kiedy msza się kończy, wytacza się przed katedrą wielki pojazd zwany *La Custodia*, czyli monstrancja. W rzeczywistości jest to srebrny, wielki baldachim przypominający kabriolet z wysoką sygnaturką, do której wstawia się monstrancję. Pojazd ten kierowany jest przez człowieka, ale poruszany na tzw. pych przez kilku mężczyzn. Monstrancja rusza w towarzystwie śpiewów, okadzania i obsypywania jej kwiatkami przez nobliwe *doñas* (uprzejmościowy zwrot do kobiety, której rodowód wywodzi się z Hiszpanii). Przed nią maje-

statycznie kroczą: poczty sztandarowe, księża i ministranci. Ich celem jest okrążenie Plaza de Armas i powrót do katedry.

Po kilku minutach wędrowki rozpoczyna się odmawianie różańca bez informowania wiernych, która to tajemnica. Nie ma przystanków przy ołtarzach. Zresztą zaraz po dotarciu do skrętu w drugi bok placu tłum wiernych powiększa się, bowiem z katedralnych schodów w rytm wygrywanej na bębnach i trąbkach muzyki schodzi pierwszy święty. To Antonii Abad, po naszymu Wielki, żyjący w III w. w Egipcie, twórca ruchu monastycznego. Najpierw młodzi chłopcy znoszą podstawę, a dopiero potem idzie rzeźba. Prowadzi ją proboszcz, burmistrz i grono lokalnych notabli.

Po św. Antonim schodzi św. Hieronim, św. Krzysztof, św. Sebastian, św. Barbara, św. Anna, św. Jakub, św. Błażej, św. Piotr i św. Józef. Na koniec pojawiają się Matki Boskie. Jest ich pięć: Matka Boska Uzdrawicielka, od Narodzin, Oczyszczona, z Betlejem i Niepokalanaego Poczęcia. Za każdym razem obowiązują ten sam porządek, ci sami święci. Kiedy jeden

z nich dochodzi do zakrętu, pojawia się nowy. I tak jest od lat.

TAŃCZĄCE POSĄGI

Każdą rzeźbę, ubraną w bogate szaty, niesie kilkudziesięciu mężczyzn. Właściwie to nie jest zwykłe niesienie. To jest kunsztowny taniec w rytm muzyki wygrywanej przez orkiestrę towarzyszącą konkretnemu świętemu. Każdy ma swoją. Po strojach owych mężczyzn i wiernych wędrujących ze swoim świętym widać, czy dana parafia jest kreolska, czy indiańska.

Peruwiańczycy są sztucznym narodem, utworzonym od nazwy państwa. Są podzieleni na dwie duże społeczności. Pierwsza to kreolska – są to potomkowie Hiszpanów, Portugalczyków czy też innych nacji, które do Nowego Świata dotarły z Europy. Druga, ogólnie mówiąc indiańska, złożona jest z najróżniejszych plemion ludności rdzennie amerykańskiej.

Obie grupy są bardzo bogobojne, ale obie różnie podchodzą do świąt przywiezionych z Europy. Dla tych pierwszych, wyedu-

BELLO CAPPELLO

Indianki z parafii św. Barbary. Kobiety noszą kapelusze, chodzą w szerokich spódnicach z kilkoma halkami, a na ramiona zarzucają kolorowe chusty (mantela), w których noszą najróżniejsze rzeczy. Bez nich ani kobiety ani mężczyźni nie wychodzą z domu.



WIEM
BO
GRAM

od Helu do Wawelu

GRANNA®

kowanych, piastujących wysokie stanowiska i głównie mieszkających w dużych miastach, najważniejsze jest przeżywanie święta zgodnie z obowiązującym kanonem. Dla tych drugich – rzeszy biedoty, rolników, rzemieślników, a nawet jeśli wykształconych, to pracujących na podrzędnych stanowiskach, zamieszkujących ubogie dzielnice miast, prowincjonalne miasteczka, wioski i górskie osady – istotą święta jest jego oprawa zewnętrzna, a przede wszystkim jej bogactwo. Dlatego taniec, kolorowy strój, wygrywanie specyficznej muzyki na morskich muszlach ma dla nich ogromne znaczenie.

Fantastyczny jest taniec z podstawą pod rzeźbę. Wykonują go młodzi chłopcy, którzy przyuczają się do noszenia rzeźby świętego. Raz jedna noga, raz druga, to w prawo, to w lewo, krok do tyłu, dwa do przodu. Jak w wojsku! Ileż pracy trzeba włożyć, aby 30–40 mężczyzn, którzy trzymają na ramionach świętego ważącego do około tony, potrafiło z gracją, wykonując taneczne ewolucje, pokonać kilkaset metrów bez potknięcia. Nierzadko tańcowi rzeźby towarzyszą grupy tancerek wirujące przed swoim patronem. Jest głośno. W powietrzu unosi się nastrój wielkiej, wspaniałej zabawy, jakby transu, w który wpada kilkuset tysięcy tłum barwnych postaci, klaszczących dzieci i gapiów przyglądających się niemal bez ruchu temu widowisku.

Wyrusz z nami
w podróż palcem po mapie
i sprawdź swoją wiedzę
o Polsce!



Dostępna tylko
w księgarniach Matras
i na
sklep.granna.pl

www.granna.pl

R E K L A M A

FIESTA POD TĘCZOWĄ FLAGĄ

Procesja trwa do późnych godzin wieczornych. Im więcej świętych w niej uczestniczy, tym więcej wiernych gromadzi się na placu. Między nimi przeciskają się sprzedawcy z *chichą* (napój alkoholizowany z kukurydzy), orzeszkami, słodyczkami, parasolkami i innymi najróżniejszymi gadżetami.

Kiedy prezentacja świętych i ich parafii się kończy, zapada zmierzch. Nikt jednak, poza europejskimi turystami, nie rezygnuje z zabawy. Fiesta dopiero się zaczęła. Skończy się za tydzień, w kolejny czwartek, kiedy to po uroczystej mszy przed katedrą święci wraz z mieszkańcami swojej parafii zaczną rozchodzić się do domów. Do tego czasu Cuzco tętni życiem. Wszędzie można spotkać setki, a nawet tysiące sprzedawców kokosów, trzciny cukrowej, limonek, kilkunastu gatunków

chichy (najlepsza jest *morada*, czyli z czarnej kukurydzy) i słynnych *churro*, długich tłustych ciastek obsypanych cukrem, a w Hiszpanii oblewanych czekoladą.

Na ulicach odbywają się taneczne parady. Pojawia się *brujo*, czyli czarownik, są Inkowie i wiele innych ciekawych postaci. Rzeźby świętych trafiają do wnętrza katedry, gdzie można je za specjalną opłatą obejrzeć z bliska. Wiadac wówczas, że św. Krzysztof stoi na wodzie, w której pływają rybki, kaczki, a nawet żabki. Wszędzie powiewają inkaskie flagi w tęczywych barwach. Jest to również flaga Cuzco, którą bezprawnie przyjęły za swoją najróżniejsze grupy promujące performatywność płci. Po ośmiu dniach miasto cichnie, wymiera, aby w kolejnym tygodniu odrodzić się do nowej fiesty, ale to już inna historia. ○



Maria Giedz

Dziennikarka, podróżniczka, doktor politologii, nauczyciel akademicki stosunków międzynarodowych w Wyższej Szkole Bankowej w Gdańsku. Przewędrowała kilka kontynentów, napisała wiele reportaży, w tym z rejonów objętych działaniami wojennymi (Irak, Balkany, Syria). Znawczyni problematyki kurdyjskiej, autorka książek: „Węzeł kurdyjski” (2002) i „Kurdystan, bez miejsca na mapie” (2010).

AMERYKA PÓLNOCNA | USA

Magdalena Urbańska

BLASKI I CIENIE HOLLYWOODU



PARK AT YOUR
OWN RISK



Czerwony dywan, gwiazdy chodzące po ulicach, wille z Beverly Hills, palmy, bikini na plaży, a wieczorem sznur poruszających się z zawrotną prędkością aut, które zostawiają kolorową poświatę – intensywną i barwną jak samo miasto. Los Angeles dzięki tysiącom filmów i zdjęć z kolorowej prasy zaistniało w wyobraźni turystów i wytworzyło mity, którym nie zawsze łatwo sprostać w rzeczywistości.



DEPTAK SUPERBOHATERÓW

Hollywood Boulevard pełne jest nie tylko turystów, ale i osób próbujących na nich zarobić. Zorro, Joker, Superman i tym podobni czają się na każdym rogu. Bieda temu, kto nie zrobi sobie z nimi zdjęcia.

Turyście przybywającemu do Miasta Aniołów niełatwo dostrzec, gdzie znajdują się jego granice. Los Angeles płynnie przeradza się w kolejne miasta: Long Beach, Santa Monicę, Pasadenę, i tworzy wraz z nimi jedną z najludniejszych aglomeracji świata. Przy prawie 13 milionach mieszkańców całego obszaru (z czego niemal 4 w samym LA) i 1 300 km² powierzchni trudno mówić o jednoznacznych cechach czy charakterystyce regionu. Los Angeles nie oferuje też konkretnej listy *must see*. Miasto i okolice trzeba poznawać własnymi ścieżkami, a jedną z nich może być trasa filmowa, na której miejsca rozpoznawalne z dużego i szklanego ekranu zderzają się z rzeczywistością.

ODMÓWIĆ JOKEROWI

Dla fanów filmu Los Angeles to przede wszystkim Hollywood, dzielnica miasta i najbardziej popularny na świecie ośrodek kine-

matografii. Spróbujcie przywołać w głowie nazwę jakiegokolwiek dużego amerykańskiego studia filmowego. Jego lokalizacja to z pewnością Hollywood. Dzisiaj pewnie trzeba by odpowiedzieć: „było w Hollywood” lub „ma oddział w Hollywood”, jako że znaczna część przemysłu filmowego przeniosła się formalnie poza obrzeża tej dzielnicy.

A więc jedziemy z Downtown LA do Hollywood. Piętnaście minut metrem i wysiadamy na stacji Hollywood/Vine. Oczekiwania potęguje sama stacja, której sufit jest wyłożony taśmami filmowymi, w hallu zaś obok palm stoją projektory. Wychodzimy na powierzchnię, oślepią nas słońce i... atakuje mnóstwo Transformerów, Spidermenów i Hulków. Każdy z nich podchodzi, zagaduje, uśmiecha się do zdjęcia. Gdy odmawiamy kolejnemu Jokerowi czy Zorro, ten macha z rezygnacją ręką, siada na ławce i zapala papierosa. Tak będzie przez najbliższy kwadrans, jaki zajmie przejście przez Hollywood Boulevard,

RA HAS ARRIVED

FRIDAY, JUNE 26
DRIVE AT DAYTON WAY



FOT. KLAUDIA SCHIBERT

ulicę pełną teatrów, knajp i tandetnych sklepów z pamiątkami, do celu naszej wycieczki – Dolby Theatre. Niedysiejszy Kodak Theatre jest gospodarzem imprezy, którą z takim zapamiętaniem śledzi rokrocznie kilkadziesiąt milionów ludzi na całym świecie. Przyznawane od niemal 90 lat Oscary kształtują masową wyobraźnię, choć obok samych produkcji filmowych równie ważna jest w nich otoczka „czerwonego dywanu” – symbolu blichtru, pieniędzy i sławy.

O mały włos nie przegapilibyśmy punktu docelowego. Miejsce, w którym odbywa się gala rozdania Nagród Akademii Filmowej nie wyróżnia się niczym szczególnym, wręcz przeciwnie – jest skromniejsze niż pozostałe budynki czy znajdujące się po drugiej stronie ulicy teatry i kina. Do tego – jest zwykłą galerią handlową! Wyobraźcie sobie najważniejszą polską imprezę filmową w kinie znajdującym się na najwyższym piętrze dużego centrum usługowego. W tym na Hollywood Boulevard raz do roku zdejmuje się szлды ze wszystkich

sklepów, zasłania się to, co najbardziej pospolite, rozwija kilometry czerwonej tkaniny, ustawia „ścianki” i przede wszystkim – zamyka się całą ulicę dla jej codziennych bywalców.

Tam, gdzie na co dzień trzeba się opętać od namolnych Jacków Sparrowów i tysięcy turystów, raz do roku skierowane są niemal wszystkie obiektywy świata. Stojąc już na środku sceny i patrząc na rzędy czerwonych foteli podziwianych przez tyle lat na szklanym ekranie telewizora, czujemy dreszczyk emocji.

POD NIEBEM GWIAZD

Wychodzimy z Dolby Theatre wprost na Hollywood Walk of Fame, czyli słynną aleję, na której znajdują się niemal 3 tysiące najważniejszych nazwisk przemysłu filmowego (swoje gwiazdy wmurowane w ścieżkę mają nie tylko aktorki, aktorzy i reżyserzy, ale także postacie kreskówkowe czy zespoły muzyczne). Aleja ciągnie się po obu stronach Hollywood



MOŻNA PATRZYĆ CAŁĄ DOBĘ

Słynny znak widoczny jest z wielu miejsc LA. Nie da się do niego podejść, ale można go śledzić w internecie 24 godziny na dobę.

Boulevard oraz Vine Street. Próżno szukać wymarzonego nazwiska bez uprzedniego sprawdzenia na mapie – aleja nie jest odgrodzona, to zwykły chodnik, po którym chodzą setki ludzi, przeciskając się między licznymi stoiskami z pamiątkami czy barowymi stolikami.

Hollywood to przede wszystkim jedna długa ulica, z mnóstwem punktów komercyjnych, ale i takimi miejscami jak główny kościół scjentologów czy Thai Town. W oddali można podziwiać jedną z nielicznych atrakcji w Hollywood, która – nieco paradoksalnie – oparła się całkowitej komercjalizacji: słynny znak widniejący na wzgórzu Hollywood Hill. Biały, wysoki na 14 i długi na 110 metrów napis widoczny jest z wielu miejsc LA.

Jednym z ciekawszych punktów, z których warto go podziwiać, jest Griffith Observatory. Choć setki turystów przychodzą tu przede wszystkim oglądać niesamowitą panoramę całego Downtown, obserwatorium jest także znaczącym miejscem dla kinematografii. To tutaj powstała symboliczna scena w „Buntowniku bez powodu”, w której archetyp filmowego buntownika, James Dean, zderza się ze światem i dochodzi do niego świadomość ludzkiej małości. Aby upamiętnić tę scenę, przed wejściem ustawiono popiersie aktora, który utarował Griffith drogę do zostania jednym ze słynniejszych plenerów filmowych (budynek występował w „Terminatorze” czy „Transformersach”).

Za obserwatorium widać rozpoznawalny napis. Aż dziw, że nie jest podświetlany, nie mieni się nocą milionami odcieni niczym neony na Hollywood Boulevard i nie można do niego bezpośrednio dotrzeć (widoczny jest z oddali, zaś po długiej wędrówce można tylko stanąć na szczycie wzgórza wiele metrów nad nim). Powiedzmy sobie szczerze: nie wygląda nadto imponująco, a okazalej niż w rzeczywistości prezentuje się w internecie, gdzie można go oglądać 24 godziny na dobę przez zamontowaną na zbczu kamerę. Gdyby należał do prywatnego potentata filmowego, niejedna Marilyn czy Terminator sprzedawaliby na ulicach LA co najmniej 20-dolarowy wjazd przeszkloną windą na literkę H. Jest więc coś budzącego szacunek w tej dość smutnej w rezultacie i skromnej – ale przez to jedynej prawdziwej – ikonie Hollywood.

WYCIECZKA PO STUDIACH

Producentów filmowych do Hollywood ściągnęły przede wszystkim znakomite warunki pogodowe. W południowej Kalifornii prawie zawsze świeci słońce, a niebo jest bezchmurne. – *Co czasem stanowi utrudnienie dla twórców filmowych* – opowiada nam w trakcie zwiedzania studia Paramount Pictures nasz przewodnik Jon. Wjeżdżamy wózkami golfowymi przez słynną bramę jednej z najstarszych wytwórni i stajemy przy pustym parkingu samochodowym, znajdującym się w niecce dwa metry poniżej nas. Na jej tle rozciąga się prospekt z namalowaną panoramą chmur. – *Bezchmurne*

niebo jest nienaturalne dla widza, więc wiele scen trzeba kręcić na sztucznym tle – opowiada Jon, okrążając nieokazany basen. – *Jeśli nalejemy tu wody, mamy gotową scenę na morzu* – mówi, przejeżdżając przez „niebo” niczym rydwan. Na swoim tablecie puszcza nam fragment „Truman show” i już wiemy, że Jim Carrey nie potrzebował żadnych efektów specjalnych, by przejść do „prawdziwego świata”.

Paramount Pictures jest już dziś studiem mniej imponującym niż było lata temu – zmienił się sam sposób produkcji filmów. To, co niegdyś trzeba było zrobić na miejscu, dziś profesjonaliści robią na ekranach komputerów. Jest to druga po Universal Studio najstarsza wytwórnia filmowa w USA. Zwiedzanie pierwszej z nich jest dziś jak pobyt w wesołym miasteczku, filmowym Disneylandzie – oferuje więcej atrakcji i rozrywkowego uczestnictwa niż możliwości zobaczenia, jak w rzeczywistości wygląda plan filmowy.

Trzecim najbardziej popularnym studiem jest Warner Bros i to ono najczęściej walczy z Paramountem o turystę. Oba studia dostarczają jednak tego, co najciekawsze, czyli

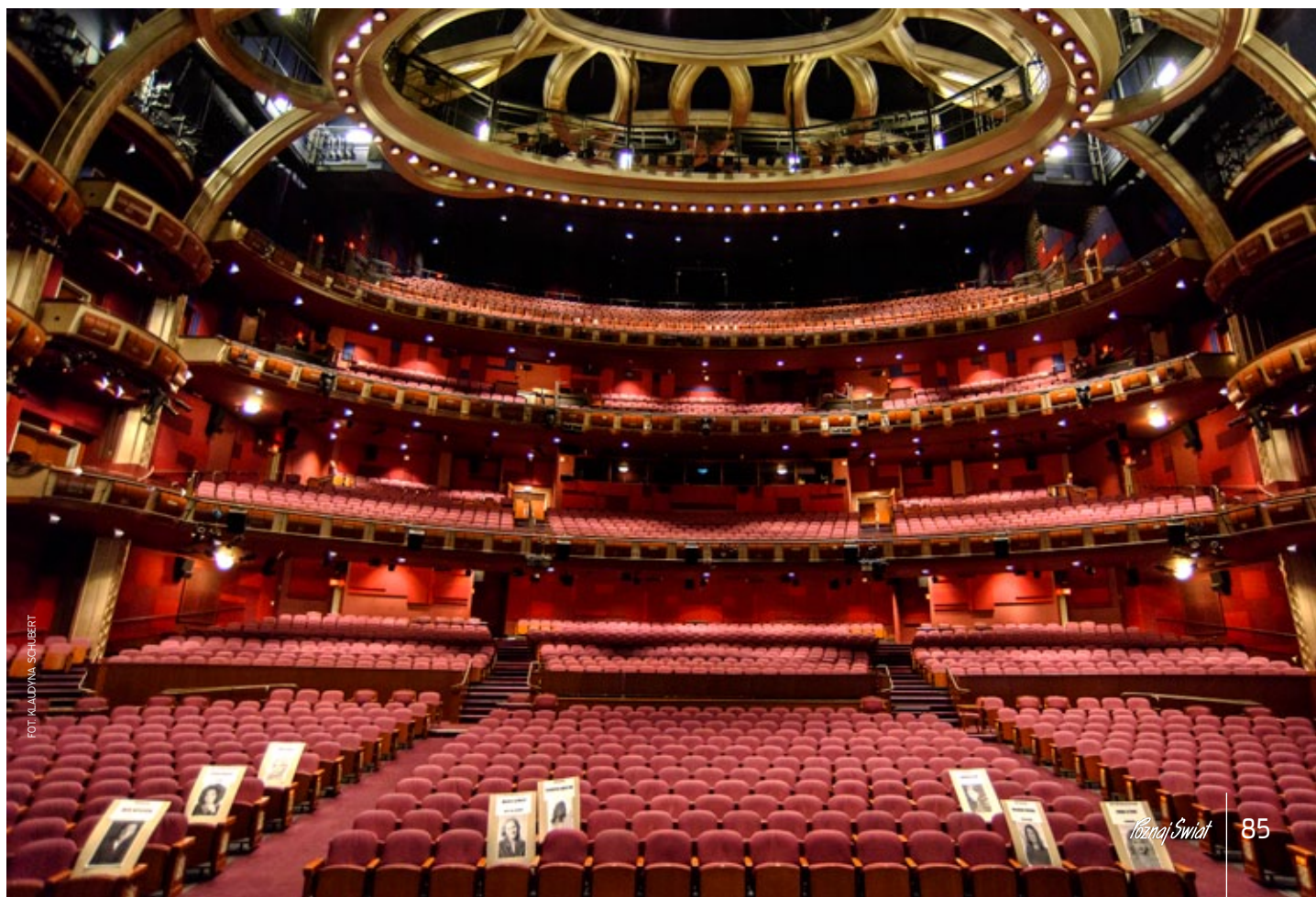
przejażdżki przez rzeczywisty plan filmowy. W czasie naszej wycieczki mijamy kolejne budynki wyglądające jak fragmenty różnorodnych historycznie i architektonicznie dzielnic. – *Chicago lata 80., Nowy Jork* – opowiada Jon. – *W zależności od tego, gdzie dzieje się akcja filmu, przed tym budynkiem kręcimy. Zmieniają się tylko szyldy, a akcję we wnętrzu filmujemy w studiu.* Mijamy kolejną zbudowaną do połowy latarnię uliczną – nie trzeba jej wykańczać, ponieważ kamera i tak nie sięgnie swym okiem ponad filmowany budynek.

CRAZY PEOPLE I SŁONECZNY PATROL

Filmowo LA wygląda przede wszystkim w Downtown – i to dwojako: z jednej strony metropolitalny charakter miasta widać w wielu ekskluzywnych budynkach, centrach kultury, kawiarniach, szklanych wieżowcach. Prawdziwy mit Ameryki, znany choćby z licznych seriali, od „Beverly Hills 90210” po „Californication”. Z drugiej strony – pełne murali obdrapane ściany, parkingi z autami bez opon,

TEATR CZY TARGOWISKO?

Dolby Theatre znajduje się w centrum handlowym. To jedna ze scen, o której marzą wszyscy aktorzy i twórcy filmowi. To tutaj co roku wręcza się najśłynniejsze filmowe statuetki – Oscary.

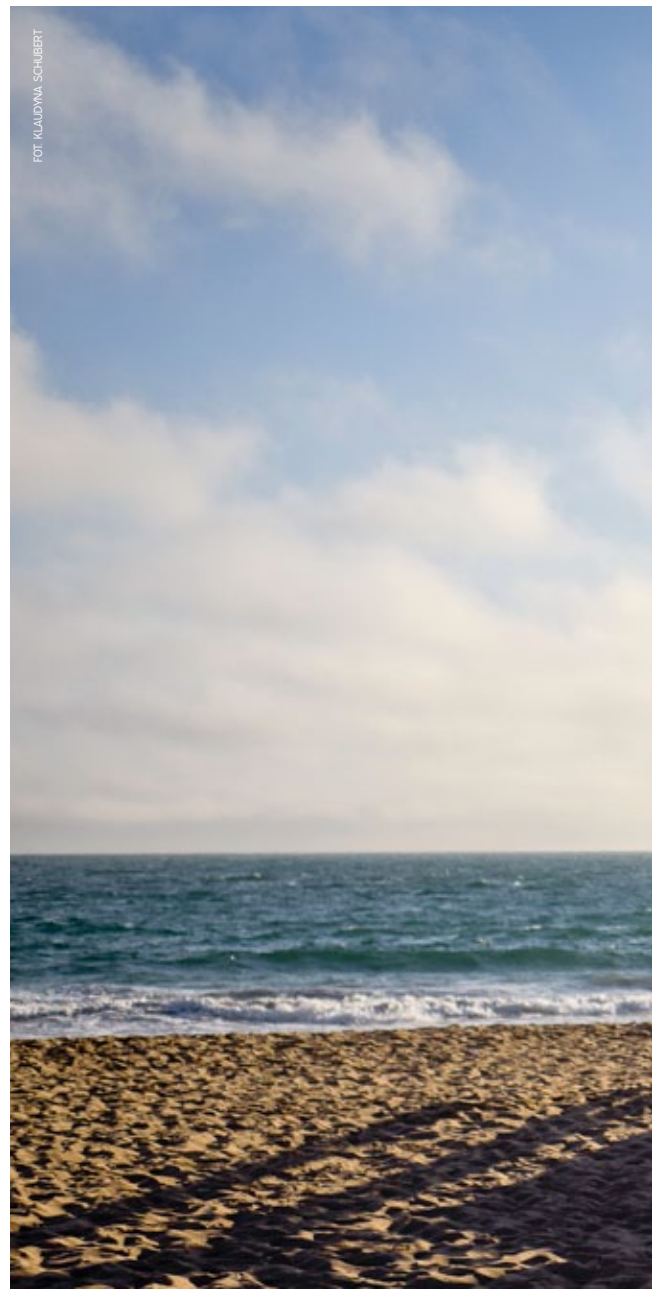


zamknięte sklepy, puste warsztaty i mnóstwo bezdomnych. Taki obraz kojarzy się z gangsterskich filmów z lat 80. i 90., chociażby z „Wyrzutków” Coppoli czy „Chłopaków z sąsiedztwa” Singletona. Te dwa światy przenikają się w całym Los Angeles.

Kwintesencją tego pomieszania jest Million Dollar Hotel, a właściwie Rosslyn Hotel. Znajdujący się na skrzyżowaniu Main i 5. Alei, mający pierwotnie 263 pokoje, cieszył się takim powodzeniem 100 lat temu, że tuż obok niego postawiono drugi – tym razem z ponad 400 pokojami – i połączono je tunelem. Na wielkim charakterystycznym metalowym neonie napisano wówczas „Million Dolar Hotel” – miał świecić blaskiem na całe Downtown. Wiele lat później umieścił w nim akcję filmu Wim Wenders i stworzył historię opartą na pomysle Bono, do której ten napisał muzykę.

Film dopełnił mitu, choć pewnie nie takiego, jakiego życzyliby sobie bracia Hart – założyciele hotelu. Filmowy Million Dollar Hotel stanowi schronienie dla grona pocziwych dziwaków, osób odstających od społecznych norm i racjonalnego świata. Takich *crazy people* na ulicach Los Angeles widzieliśmy setki. Mieszają się z biznesmenami i turystami z kubkami ze Starbucksa, mówią do siebie, śpiewają, palą trawkę. Dopiero podczas spaceru po mieście w stronę historycznego hotelu uświadomiłam sobie, jak trafnego symbolu użył Wenders, by pokazać mieszanie się bogatego, „racjonalnego” świata i brudnej rzeczywistości amerykańskiej ulicy.

Dwadzieścia pięć kilometrów dalej od ulic przypominających „Tajemnice Los Angeles” znajduje się zupełnie inny świat. Wybrzeże Miasta Aniołów znane jest z pewnością każdemu – oczywiście ze szklanego ekranu. Któż nie widział prężnych opalonych ciał z charakterystyczną czerwonych deską ratunkową, słynnych domków ratowniczych na tle zachodzącego słońca czy Pameli Anderson w skąpym stroju, biegnącej brzegiem oceanu na ratunek jakiemuś (nie)szczęślikowi?! To na Santa Monica, jednej z najslyniejszych plaż Zachodniego Wybrzeża (druga to niedległa Venice – także słynna lokacja filmowa), rozgrywa się „Słoneczny patrol”. Miejsce robi wrażenie: budki ratowników na tle rozległego pasma gór, szeroka plaża zakończona



FOT. KLAUDYNA SCHUBERT

PAMELO, WRÓĆ!
Plaża Santa Monica z białymi budkami ratowniczymi znana jest wszystkim, którzy w latach 90. z zapartym tchem śledzili przygody ratowników z LA.

chodnikiem dla rolkarzy i rowerzystów, tuż przed samochodową Ocean Avenue, którą od plaży oddziela strome wybrzeże, zwieńczone rzędami palm.

Nie można zapomnieć o iście filmowym bujnym życiu (także nocnym) na 3rd Promenade. Czy coś zaburza tę idylliczną krainę amerykańskiego snu? Rzeczywistość w postaci setek aut zaparkowanych na samej plaży oraz miejsce, dla którego one wszystkie tam stoją – słynny Santa Monica Pier. Większość



z tysięcy turystów nie idzie bowiem na samą plażę, ale kieruje się ku wielkiej, komercyjnej promenadzie, by zjeść lody, kupić watę cukrową i odbyć przejażdżkę na diabelskim kole. Na szczęście im dalej od promenady, tym więcej uciechy z pięknych widoków, piaszczystych plaż i pierwotnej dzikości miejsca, znajdującego się przecież nie tak daleko od olbrzymiego miasta drapaczy chmur i biznesu.

Nie będę udawać, że Hollywood nie rozczarowuje, a Los Angeles zachwyca swoim

celebryckim blaskiem. Pierwsze nie wytrzymuje zderzenia z wyobrażeniami, zaś ulice Downtown LA robią wrażenie molocha, który tak przerażał głównego poetę bitników, Alena Ginsberga w „Skowycie”: „Moloch! Samotność! Brud! Brzydota! Kubły na śmieci i nieosiągalne dolary!”. Jednak wszystkie te miejsca mają w sobie pewien nieodparty urok, który odpycha i przyciąga jednocześnie – trzeba tylko umieć znaleźć w nich właściwe dla siebie ścieżki. ○



Magdalena Urbańska

Z wykształcenia teatrolożka oraz filmoznawczyni. Podróżuje po świecie śladem swoich ulubionych bohaterów i autorów. Redaktorka naczelna internetowego magazynu FUSS.

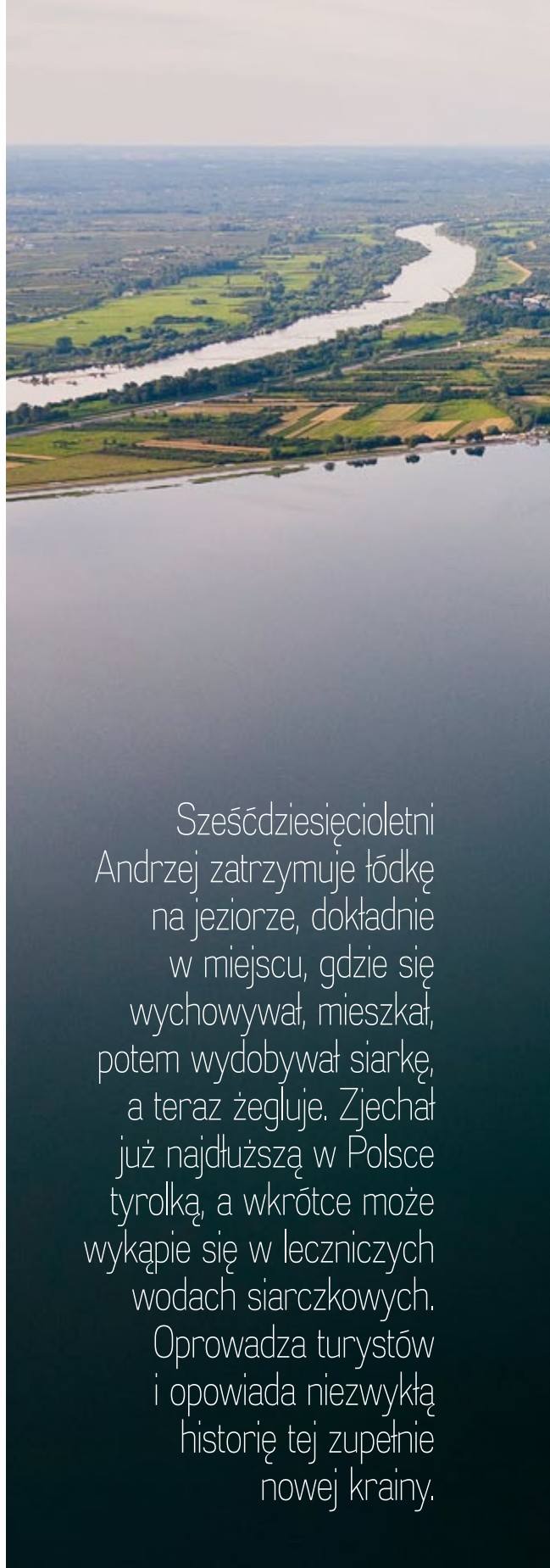
Nikt na świecie wcześniej tego nie dokonał. Zabezpieczenie wyrobiska po kopalni siarki poprzez budowę rekreacyjnego zbiornika wodnego było planem pionierskim, wybitnym osiągnięciem polskiej inżynierii. Jedną z najkosztowniejszych i najdłuższych inwestycji ekologicznych w Polsce. W dodatku sfinansowaną bez udziału UE. Powstał akwen określany jako „cud ekologii” oraz cała nowa kraina przyrodnicza zwana Pojezierzem Tarnobrzeskim. A wszystko to w zagłębiu turystycznym, w widłach Wisły i Łęgu, na obrzeżach Puszczy Sandomierskiej i Wyżyny Kielecko-Sandomierskiej, a dokładniej pomiędzy nimi.

DOŁEK WIDOCZNY Z KOSMOSU

Czy w tym samym miejscu jedna osoba może najpierw mieszkać w rodzinnym domu, potem pracować w kopalni, likwidować ją, budować zbiornik wodny, a w końcu wypoczywać? Wszystko to było możliwe w okresie niespełna 40 lat, a to jeszcze nie koniec „wyrwotowych” zmian. Historia przyspieszyła tu nieprawdopodobnie.

Przez setki lat na tym terenie istniało kilka wsi. W Miechocinie (dziś dzielnica Tarnobrzeska) już w XII wieku była parafia. Na skarpie, 500 metrów od brzegu jeziora stoi jeden z pierwszych kościołów w archidiecezji krakowskiej, kolebka Tarnobrzeska. Cudem został uratowany przed ekspansją kopalni. Dziś jest również jednym z najlepszych, najwyższych punktów widokowych na Jezioro Tarnobrzeskie i okolice.

W latach 60. w sąsiednim Machowie, a potem Kajmowie, ruszyło wydobycie „polskiego złota”. Dwie wsie szybko zniknęły wraz z pokładami ziemi, a kilka okolicznych osad oczekiwało na taki los. Dobra koniunktura szybko się skończyła. Pozostała wielka bomba ekologiczna – jeden z najbardziej zdegradowanych przyrodniczo obszarów kraju i groźba skażenia wód powierzchniowych siarkowodorem. Po jednej z największych kopalni odkrywkowych na świecie został księżycowy krajobraz: głębokie na 110 metrów, o powierzchni 560 ha, wyrobisko widoczne z kosmosu, przez miejscowych zwane „dołkiem”. Jak na jego rozmiar i skalę ingerencji w środowisko, wydobywanie siarki na tym terenie trwało krótko – zaledwie 22 lata.



Sześćdziesięcioletni Andrzej zatrzymuje łódkę na jeziorze, dokładnie w miejscu, gdzie się wychowywał, mieszkał, potem wydobywał siarkę, a teraz żegluje. Zjechał już najdłuższą w Polsce tyrolką, a wkrótce może wykąpie się w leczniczych wodach siarczkowych. Oprowadza turystów i opowiada niezwykłą historię tej zupełnie nowej krainy.



Marcin Piasek

CAŁKIEM NOWA KRAINA



JEZIORO SZYTE NA MIARĘ
 To akwen idealny dla wodniaków, bo specjalnie dla nich został zaprojektowany. Ma spore zafalowanie i słynie z silnych, równych wiatrów. Ściąga windsurferów i kitesurferów, odbywają się tu także międzynarodowe zawody w wakeboardzie za motorówką. Jest i najdłuższa w Polsce tyrolka, licząca 520 metrów.

Kopalnia siarki Machów po zaprzestaniu wydobywania w 1992 r. jako pierwsza w kraju zajmowała się wyłącznie naprawą zniszczeń przemysłowych. Wciąż czeka na dokończenie rekultywacji sąsiedni akwen po kopalni w Piasecznie. Oddalony o 2 km od Jeziora Tarnobrzesskiego, ale po drugiej stronie Wisły, co jest dodatkową atrakcją. Tam w otoczeniu sandomierskiego okręgu sadowniczego też powstaje malowniczy, rekreacyjny zbiornik wodny o powierzchni 160 ha.

Rekultywacja terenów posiarkowych jest jedną z najdroższych inwestycji ekologicznych w Polsce. Choć wartość całego przedsięwzięcia wyniosła ponad 1,5 miliarda zł, to już wia-

SIARKA NICZYM BURSZTYN

Dzień 10 lipca 2010 roku otworzył nowy rozdział w historii miasta i regionu. Czas ten okazał się związany z wielką wodą. Kiedy północna część Tarnobrzega płakała jeszcze po „powodzi tysiąclecia”, w południowej pierwi turyści po 16-letnim oczekiwaniu wchodzili z radością do nowej wody. Taki był niezwykle, dramatyczny zbieg okoliczności w jednym niedużym mieście.

Jezioro Tarnobrzesskie nie jest zbiornikiem retencyjnym jak większość dużych sztucznych akwenów. Nie mogło uchronić regionu od powodzi. Poza rolę zabezpieczenia ekologicznego szkód górniczych ma charakter wyłącznie rekreacyjny. Od podstaw było tak zaprojektowane i tak zostało wykonane. Trudno je porównywać z innymi akwenami zbudowanymi w celach przeciwpowodziowych, energetycznych czy zaopatrzenia w wodę. Dlatego też pod względem walorów wypoczynkowych jest bezkonkurencyjne.

Nazwa Jezioro Tarnobrzesskie oficjalnie funkcjonuje dopiero od 2013 r. Wcześniej nazywano je Zalewem Machowskim czy zbiornikiem Machów. Natomiast starsi miejscowi do dziś mówią, że idą „na dołek”. O jego rozmiarze świadczy, że napełnianie go wodą trwało ponad 4 lata (2005–2009 r.). Musiała być pierwszej klasy czystości, a pochodziła z pobliskiej Wisły.



FOT. BOGDAN MYSŁIWEC



FOT. BOGDAN MYSŁIWEC



FOT. BOGDAN MYSŁIWEC

domo, że zabraknie środków na wykonanie całego planu. Prace trwały przez 20 lat, dwukrotnie dłużej, niż pierwotnie zakładano.

Bardzo szybko na terenie kopalni, w strefie górniczej, powstało pierwsze osiedle mieszkaniowe. Niektórzy już wtedy wiedzieli i wierzyli

**GDZIE TA KEJA,
A PRZY NIEJ TEN JACHT...**

Ze względu na oddalenie od
głównych aglomeracji nie ma
tu zgiełku, a przy kei zawsze
znajdzie się miejsce.





FOT. BOGDAN WYSZYŃCZAK

ŁĄKA CZY PLAŻA?

**Najdłuższa na
śródlądziu piaszczysta
plaża w Polsce
z wyprofilowanym,
bezpiecznym zejściem
do wody liczy 3,2 km.
Otoczona jest zielenią
łąkową i leśną –
to dla tych, co nie
lubią piasku.**

w to, co tu powstanie, pomimo nieustannych problemów z finansowaniem tej inwestycji. Wielu sceptyków nie dopuszczało myśli o życiu czy wypoczynku pod kominami, nad składowiskiem odpadów niebezpiecznych. Obok cały czas funkcjonuje strefa przemysłowa, a przetwarzaną w pobliskich zakładach chemicznych siarkę ciągle można poczuć. Dziś już wiemy, że nie jest to barierą dla tłumów wypoczywających i można połączyć przemysł z turystyką. Niektórzy poszukują grudek siarki jak bursztynu nad morzem.

Ziemię z wyrobiska wywożono na oddalone o kilka kilometrów składowisko zwane potocznie „zwałką”. Dziś na tym sztucznym, atrakcyjnie rekultywowanym wzniesieniu jest stok narciarski, oczka wodne oraz tereny leśne i łowieckie, obfitujące w dziką zwierzynę.

Ten raj dla turystów, miłośników sportów wodnych, wędkarzy i nurków interesuje też inwestorów. Jest już profesjonalna stacja wodniacka z 40 miejscami noclegowymi. W planach są apartamentowce, hotele, ogromny kompleks wypoczynkowo-rekreacyjny, a może i kurort.

Sentymentalnych żeglarzy, którzy z pokładu jachtu czy kajaka szukają swojego domu na jeziorze, wspominają dzieciństwo i górniczą pracę, jest niewielu. Kawał życia został pod wodą, obciążenie emocjonalne jest za duże. Ale są i tacy, którzy wybudowali już nowe

domy niedaleko starych, w dzielnicach teraz turystycznych. Mimo tylu zmian i bardzo mieszanych uczuć nie opuścili tego miejsca. Może dożyją kurortu na bazie leczniczych wód siarczkowych, bo i takie są tu pomysły. Nie można tego wykluczyć, zwłaszcza że miejscowa ludność słynie z długowieczności.

WODNIACY NA ŚRÓDLĄDZIU

Od razu zwraca uwagę krystalicznie czysta woda. Światło słoneczne dociera do samego dna, czyli na głębokość 42 metrów, i nie ma potrzeby używania latarki przy nurkowaniu. To czwarty najgłębszy ze sztucznych zbiorników w kraju, jeszcze słabo spenetrowany. Na dnie może czekać wiele niespodzianek, jak pozostałości po kopalni i osadach.

Jest tu też najdłuższa w południowej Polsce piaszczysta plaża o długości 3,2 km. Czysta, z łatwym, wyprofilowanym zejściem do ciepłej (do 25°C) wody. W upalne dni odwiedza ją ponad 30 tys. osób dziennie, a corocznie 400 tys. Przy tak ogromnej frekwencji służby ratunkowe ustanawiają kolejny krajowy rekord bezpieczeństwa: po sześciu sezonach utonęła tylko jedna osoba i to po znacznym spożyciu alkoholu.

Dla żeglarzy i surferów to obiekt, na którym odbywają się regaty we wszystkich klasach. Równinny mikroklimat powoduje,

że wiatry są mocne, niezakłócone, a zafalowanie dochodzi do 1 metra przy prędkości wiatru 15 m/s. Doceniają to wodniacy na śródlądziu. Wędkarzy przyciągają okazy drapieżników: stada okoni i wiele ponadmetrowych szczupaków; widziano też sandacze i sumy. Oficjalne rekordy to 117-centymetrowy szczupak i karp, który ważył 14,6 kg.

Nad urokliwą, jeszcze bezludną wyspą, która jest jedną z pereł jeziora, powstał najdłuższy w Polsce zjazd linowy. Tyrolka mierzy 520 m, a różnica poziomów wynosi 20 metrów, co pozwala uzyskać prędkość zjazdu do 60 km/h.

Ta kraina to gratka także dla lotników i pasjonatów fotografii lotniczej. Dwa sztuczne akweny przedzielone doliną Wisły pośród kwitnących sadów są bardzo atrakcyjne dla podniebnych turystów.

Przeplývająca zaledwie 100 m od Jeziora Tarnobrzkiego Wisła jest w tym miejscu obszarem ochronnym w ramach programu Natura 2000. Występują tu rzadkie gatunki roślinności i zwierząt. Ze względu na cenne walory przyrodnicze to ważny korytarz ekologiczny nie tylko w skali Polski, lecz także Europy. Miejsce przyciąga przyrodników i fotografów natury.

Dzięki akwenowi Tarnobrzeg stał się centrum nadwiślańskiego trójmiasta turystycznego. Tworzy je z cenionymi od lat na krajowym rynku markami: Sandomierzem i Baranowem Sandomierskim. ○



więcej informacji: www.tarnobrzeg.pl; jezioro-tarnobrzekie.eu; mhmt.pl

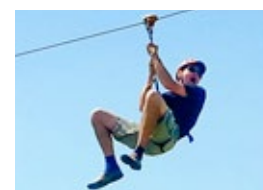
R E K L A M A



U-A-HA, ROWERY DWA

Ścieżka rowerowa dookoła jeziora ma 10 km. Jest także doskonałym miejscem do spacerów, biegania, nordic walkingu i wielu innych aktywności.

FOT. MARCIN PIASEK



Marcin Piasek

Dziennikarz niezależny, w wolnych chwilach również przewodnik po Jeziorze Tarnobrzekim i całym nowo powstałym pojezierzu posiarkowym. marcin.piasek@vp.pl

CO SIĘ CZAI W LOS LLANOS

Tony Kososki



Pierwszego stopa łapałem z trzęsącymi się kolanami. Brazylijscy znajomi twierdzili, że ktokolwiek się po mnie zatrzyma, zrobi to tylko po to, aby wywieźć do lasu i okraść. Nic takiego się nie stało, więc postanowiłem przełamać inne lęki. Wcześniej przyrzekłem sobie, że za nic w świecie nie pojedę do Wenezueli.

Moja autostopowa przygoda z Ameryką Południową zaczęła się w czerwcu 2014 roku od wolontariatu podczas mistrzostw świata w piłce nożnej. Tam poznałem wielu mieszkańców tego kontynentu, między innymi Kolumbijczyków. Skoro miałem już znajomych w Bogocie, postanowiłem przedłużyć planowaną trasę i po Machu Picchu udać się do stolicy Kolumbii. W ciągu kolejnych

dziewięciu miesięcy przejechałem okazją nie tylko przez Brazylię, lecz także Boliwię, Peru, Ekwador i pół Kolumbii. Zwiedziłem Salar de Uyuni, kopalnie srebra w Potosi, udało mi się „odnaleźć” Machu Picchu i dopłynąć barkostopem do Iquitos.

Dzięki ludziom, których spotykałem w samochodach, oraz znajomości portugalskiego nauczyłem się hiszpańskiego. Wielu z nich, aby poznać bliżej wesołego podróżnika z dru-



giego końca świata, oferowało nocleg w domu. W ten sposób w Ekwadorze dostałem się na położoną w Andach farmę i przeżyłem unikalne doświadczenie dojenia kóz.

Poznawałem nie tylko kierowców. Wielu podróżników opowiadało mi o sytuacji w kraju, gdzie do niedawna rządził generał Chavez, mówili o niesamowitych krajobrazach i walorach turystycznych. Puste półki w sklepach, kilkusetmetrowe kolejki do marketów, inflacja – to wszystko brzmiało jak opis Polski sprzed trzydziestu lat. Nie trzeba było przenosić się do przeszłości, żeby na własnej skórze poczuć słowa mamy, że „kiedyś były inne czasy”. Walcząc ze strachem, ostateczną decyzję podjąłem w Bogocie, a ta okazała się najlepszą podczas całej podróży.

ŚCISNAĆ DUSICIELA

Gdy przechodziłem przez most imienia Simóna Bolívara, czułem strach pomieszany z ciekawością. Spod granicy do najbliższego miasta dojechałem z sympatyczną rodziną, która ze względu na nadchodzącą noc zaproponowała mi gościnę w swoim domu. Pożyczyłem komputer i wygooglowałem, że Venezuela jest najpiękniejszym krajem Ameryki Południowej! W ten właśnie sposób dowiedziałem się o Los Llanos – ogromnym obszarze równin, na którym żyją dzikie zwierzęta sawanny.

Nie chciałem jechać na zorganizowane safari. Szukałem miejsca, gdzie zwierzęta nie będą przyzwyczajone do widoku człowieka i będą zachowywać się naturalnie. W końcu znalazłem Hato el Peñalero – kilkunastohektarowy otwarty teren, którego właściciel dbał

MALOWNICZA FORMACJA

Długonóg amerykański (ptak z rodziny bocianów) i kapibara (największy gryzoń świata) w trawach llanos (sawannowej formacji roślinnej).

jedynie o swoje krowy i pilnował, żeby nie było kłusowników. Oznaczało to obszar lasów, bagien, jezior oraz rzek pozostawionych samym sobie, gdzie zwierzęta miały idealne warunki do rozwoju. Spytałem kierownika, czy pozwoli mi tu przez jakiś czas zakotwiczyć, a ten jeszcze zanim się zgodził, zaproponował mi śniadanie! Tak zaczęła się przygoda, podczas której dostałem całkowicie wolną rękę na obserwację wszystkiego, co żyło na wysuszonej z braku wystarczających opadów ziemi oraz w mętnych jeziorkach pełnych krokodyli.

Podczas śniadania kierownik zapytał mnie, po co dokładnie przyjechałem. – *Gdzie indziej widziałem już wyjce, które wydają ryk podobny do tygrysięgo, oraz iguany osiągające długość ponad metra. Najbardziej chcę jeszcze zobaczyć anakondę i mrówkojada, aczkolwiek kapibary i krokodyle też są spoko!* – powiedziałem, a gdy odstawiłem talerz, kazał jak najszybciej wskakiwać na pakę toyoty.

Dojechaliśmy do jeziorka, w którym aż roiło się od kajmanów. Na jednej z gałęzi wisiał częściowo zanurzony w wodzie dorodny wąż. Nie był zbyt ruchliwy, powiedzieli mi, że dopiero co (czyli parę tygodni temu) jadł. Gdy myślałem, że to już koniec niespodzianek, z oddali zaczął machać do nas kierowca kombajnu, który kosząc trawę, omal nie skoślił kolejnego gada. Podbiegliśmy na miejsce i moim oczom ukazała się ogromna, zwinięta

w kłębek anakonda! – *Chciałeś gringo, to masz* – powiedział szef i dodał: – *Teraz ją weź i zanieś do stawu.* Z uśmiechem odpowiedziałem: – *Ja nie mam doświadczenia, więc niech pan mi pokaże, jak to zrobić.* Widać, że stary był trochę zdenerwowany, jednak chwycił go – to za ogon, to za głowę – i bez problemów uniósł kilkumetrowego zwierza. Nie mogłem w to uwierzyć. Poprosiłem, żeby go odłożył, i sam go podniosłem. Gadzina niepewna swojego losu przekładała ciężar na jedną stronę, przez co niemal się uwolniła, zanim ją doniosłem.

Okazało się, że anakondy to węże wodne, niebezpieczne tylko w tym środowisku. Dusicie się bardzo powolne i zanim taki oplótny się wokół ramienia, człowiek zdążyłby się uwolnić. Po udanej akcji kierownik wytłumaczył mi, że musieliśmy ją przenieść, bo anakondy są zmiennocieplne. Jeżeli leżałyby tutaj jeszcze kilka dni, mogłyby się zagotować. Podobnie jak krokodyle zwierzęta te muszą przebywać i w wodzie, i na słońcu.

KROKODYLA ZŁÓW MI LUBY

Krokodyle to podstępne bestie! W wodzie leżą całkowicie zanurzone i jedyne, co wystaje nad powierzchnię, to oczy, które tak przerażająco świecą w nocy. Gdy wychodzą na powierzchnię, otwierają pyski, zastygają w bezruchu i czekają, aż ofiara sama wejdzie im do gardła

SMOK WEGETARIANIN

Iguany są nieufne, jednak ta dała się zwabić na skórkę z mango i pozwoliła pogłaskać. Okazało się to podstępem w celu zdobycia całego owocu.



FOT. TOW. KOSKSI



PTAKI CIERNISTYCH KRZEWÓW

Ibisy szkarłatne występują w Ameryce Południowej i Środkowej. Zamieszkują mokradła i zarośla.

lub znajdzie się w odpowiedniej odległości. Choć wydają się bardzo powolne, to przez cały czas kumulują w sobie energię, aby zaatakować w odpowiednim momencie, szybciej niż mrugnięcie okiem. Tutejsze okazy na szczęście nie przekraczały wielkości 2,5 metra, przez co mogłem chodzić spokojnie. Ich liczba i żarłoczność skutecznie przyczyniają się do wymierania młodych kapibar, przez co od czasu do czasu podejmuje się decyzje o zmniejszeniu krokodylęj populacji.

Pewnego dnia poszedłem na połów piranii. Wędkę w Wenezueli zastępuje kawałek drewna, a kołowrotek – ludzkie dłonie. Na końcu żyłki nawinięty jest haczyk, jednak prawdziwy „haczyk” w łowieniu tych ryb polega na zabezpieczeniu się za pomocą kawałka metalu przed przegryzieniem cienkiej żyłki. Montuje się go bezpośrednio przed haczykiem. Nakłuwamy kawałeczek świeżego mięsa, wrzucamy do wody i czekamy na zdobycz. Piranie są bardzo szybkie, trzeba mieć dobry refleks i reagować na najmniejsze pociągnięcie żyłki. Ledwo wrzuciłem przynętę do stawu, a chwilę później już nic nie było. I tak kolejne dziesięć razy.

W pewnym momencie jednak coś złapałem. Początkowo myślałem, że zaplątałem się w podwodną trawę, jednak po chwili trawa zaczęła ciągnąć i uzmysłowiłem sobie, że musi być to coś wielkiego. Żeby nie zerwać żyłki, jak najostrożniej przyciągałem rybę w swoim

kierunku, ale jej siła była tak duża, że żyłka paliła mi palce. Po kilkuminutowej walce dopiąłem swego i okaz zaczął powoli wynurzać się z wody. Najpierw wyłonił się pysk, później oczy i na sam koniec potworny uśmiech. To nie była ryba. To było największe zaskoczenie, które przytrafiło mi się w Ameryce Południowej. Złowiłem krokodyla! Nikt przecież nie powiedział, że się nie da.

KANDYDAT DO DARWINA

Minął tydzień. Widziałem już w zasadzie wszystko, do pełni szczęścia potrzebowałem jedynie ujrzeć mrówkojada. Te zwierzęta są trudne do obserwacji, bo śpią w dzień, a buszują w nocy. Niektóre z nich wstają wcześniej i widać je przed zachodem słońca, inne kładą się spać nieco później i do swojej skrytki wracają chwilę po wschodzie. Żeby zobaczyć takiego z satysfakcjonującej odległości, trzeba mieć dużo szczęścia.

Dzień zapowiadał się zwyczajnie, szedłem wyjazdową drogą, aż tu nagle mrówkojad wybiegł z krzaków i przeszedł przede mną tak blisko, że mogłem zajrzeć w jego mętne, fioletowe oczy. To zwierzę jest najpiękniejsze na świecie! Wielkością przypomina dużego zgarbionego psa, ma długi zakrzywiony pysk, a połowę jego rozmiaru stanowi ogon przypominający liść palmy. Gdy tylko usłyszał moje

TRES AMIGOS I GRINGO

Ciągnące się po horyzont stado kilkuset krów prowadziło na szczerbień zaledwie trzech zaganiaczy.



FOT. SHUTTERSTOCK

www.poznajswiat.pl



FOT. TONY ACCORSI

Roznaji Świat 97



FOT. TONY KOSOSKI

**POZA Z GADEM**

Dusiele są powolne – człowiek zdążyłby się wypłatać, zanim anakonda by go oplotła.

FOT. TONY KOSOSKI

MISTRZ DRUGIEGO PLANU

Mrówkojada trudno spotkać, bo żeruje w nocy, a w dzień śpi. Zwierzęta te mogą być niebezpieczne, bo choć nie mają zębów, wykształciły potężne pazury, którymi rozgrzebią termitery.

Tony Kososki

Absolwent mechatroniki Politechniki Gdańskiej, bloger, podróżnik. Przez ostatnie 3,5 roku przejechał autostopem ponad 60 tys. kilometrów na trzech kontynentach. Wkrótce ukaze się książka o jego przygodach w Ameryce Południowej. vallacara.wordpress.com, facebook.com/vallacara.

kroki, zerwał się do ucieczki. Dogonić go nie sposób, udałem się więc na posiłek. Miałem podstawy sądzić, że będzie nadal w pobliżu, toteż chwilę później zabrałem się za poszukiwania śpiącego już mrówkojada.

W zaroślach po kolana dotarłem do lekko wydeptanej ścieżki. Skręciłem w kierunku, w którym pochyliła się trawa, i dotarłem do kilku ogromnych mrowisk. Obszedłem je dookoła i udało mi się znaleźć dalszy ciąg drogi, która tym razem na dobre urwała się w gęstych krzakach. Przez gałęzie zobaczyłem zwinętą owłosioną kulkę. Udało się! Tygodniowe poszukiwania dobiegły końca. Zacząłem robić zdjęcia, a zwierzę się obudziło. W odległości metra posiedziałem przed nim bez ruchu przez 15 minut i długi pysk powędrował z powrotem pod palmowy ogon, a ja ulotniłem się, żeby opowiedzieć pracownikom farmy o swoim wyczynie. Oni wszyscy próbowali mi wcześniej pomóc, dawali wskazówki, jednak zawsze bezskutecznie.

Gdy usłyszeli, co zrobiłem, zaczęli się śmiać z niedowierzania, a jeden z nich powiedział: – *Mrówkojady to zwierzęta drapieżne. Małe pazurki wystające z przednich łap to tylko przykrywka. Pod nimi znajdują się szpony, które zazwyczaj służą do rozgrzebywania mrowisk i na pierwszy*

rzut oka są niewidoczne, bo zwierzę na nich chodzi. W momencie gdy poczują się zagrożone, skaczą na ofiarę, obejmują ją, wbijają szable w plecy, a z takiego uścisku raczej byś się już nie uwolnił.

Gdy w głowie zacząłem przetwarzać, co się stało, dopowiedział, że mają długi jęzor, który mogą wprowadzić do nosa i tą drogą zaatakować mózg i zabić. Wciąż w szoku, już nie rozumiałem, czy to był żart, czy prawda. Wiedziałem jednak, że miałem sporo szczęścia. Byłbym pewnym kandydatem do nagrody Darwina...

W Hato el Peñalero spędziłem 10 dni. Oprócz wymienionych przygód na swojej drodze napotkałem jeszcze stada dzikich kapibar i obserwowałem, jak kilku kowbojów prowadzi sznur kilkuset krów na szczepienie. Podziwiałem przepiękne wschody i zachody słońca, po których w oddali następowały intensywne wyładowania atmosferyczne, bardziej ekscytujące niż sławne Relampago del Catatumbo na jeziorze Maracaibo.

Gdy wyjeżdżałem, wszyscy pytali, kiedy wrócę. Wenezuela miała być niebezpieczna, a ludzie okazali się życzliwi i niesamowici. Swoją postawą zaprzeczyli temu wszystkiemu, czego tak bałem się, gdy przekraczałem granicę tego kraju. ○



THE TRAIL SPEAKS. WE LISTEN.



Nowa linia plecaków ZULU&JADE dostępna w najlepszych sklepach outdoorowych:



Skrzydłaci mieszkańcy Tatr

Gdy zapytamy turystów o znane im zwierzęta żyjące w Tatrach, usłyszymy o kozicach i świstakach, może o niedźwiedziach. Jednak zwierzętami najczęściej towarzyszącymi człowiekowi w czasie wędrówek po Tatrach są ptaki. Ich głos dociera zewsząd niemal bezustannie, co chwila gdzieś obok przemyka cień skrzydła.

Grubodziób zamieszkuje głównie lasy liściaste i mieszane. Liczniej gniazduje w ogrodach i parkach Zakopanego, także w innych miejscowościach wokół Tatr. Odżywia się głównie nasionami. Potężnym dziobem rozłupuje bez problemu nie tylko łupiny twardych nasion, lecz także orzeszki bukowe, żółędzie oraz pestki czereśni i śliwek. To gatunek na ogół wędrowny, ale każdego roku część populacji pozostaje u nas na zimę.



Podroźniczek najliczniej zamieszkuje Rosję i kraje skandynawskie. Jest ptakiem wielkości wróbla, lecz smuklejszym od niego. W sezonie godowym samiec śpiewa szczególnie intensywnie w trzech porach: o świcie, przed południem i wieczorem. Na początku tego okresu śpiewa intensywnie również w nocy. Podroźniczek to pięknie ubarwiony słowik.

Jemiołuszka zamieszkuje północną część Półwyspu Skandynawskiego i północ Rosji. Zimą dociera na zimowiska między innymi do Europy Środkowej. Jako mieszkanka północy, jemiołuszka ma bardzo sute, miękkie i ciepłe upierzenie w pięknych matowych i subtelnych barwach. Jej głos przypomina delikatne dzwonki. Latem ptak ten odżywia się komarami, a poza okresem lęgowym głównym pokarmem są owoce. Jemiołuszka szczególnie upodobała sobie jarzębinę, którą po przylocie na zimowiska dokładnie objada.





Krzyżodziób świerkowy na Podtatrze zakłada lęgowiska głównie w borach świerkowych. Jest przykładem ziarnojada wyspecjalizowanego w pobieraniu jednego rodzaju pokarmu. Żywi się głównie nasionami świerku. Do ich pozyskiwania przystosowany jest anatomicznie. Asymetria czaszki i skrzyżowanie końców dzioba zapewniają sprawne wydłubywanie szyszek. Małe szyszki ptaki odcinają od gałęzi, przenoszą w dogodne miejsce w koronie świerka, przytrzymują nogą i objadają z nasion. Na największe po prostu wchodzą i dziobem podważają łuski.

Dudek to ptak o ciekawym wyglądzie i zwyczajach. Żyje w okolicach, gdzie lasy poprzęplątane są łąkami, pastwiskami i polami. Nie unika sąsiedztwa człowieka i coraz częściej – poza dziuplami – zamieszkuje nisze w budynkach. Głos dudka to monotonnie powtarzane „du-du-du” lub „hup-hup-hup”, z daleka mogące przypominać szczekanie psa. Lot ma falisty i chwiejny, nierówno uderza skrzydłami. Najczęściej przebywa jednak na ziemi. Jest to ptak wędrowny, zimuje w Afryce, w krajach arabskich i w Azji Południowej. W Tatrach najczęściej można go spotkać w czasie wiosennych przelotów.



Od kilku lat w okolicach Czarnego Dunajca i w żwirowni w Długopolu oraz pod Lipnicą Wielką na Jeziorze Orawskim spotykane są czaple białe *Egretta alba*. Na słowackiej Orawie i Wagu spotykane są każdego roku w zmiennej liczbie. Usiłują już nawet zimować – widziano jedną w lutym 2003 roku w Czarnym Dunajcu. Czapla biała jest wielkości czapli siwej. Ma śnieżnobiałe upierzenie i czarne nogi.

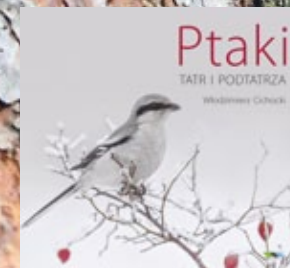




Zimorodek pojawia się nielicznie każdego roku, poza okresem lęgowym, nad tatrzańskimi potokami. Jego obecność związana jest z występowaniem drobnych ryb, które stanowią główny pokarm tego ptaka. U obu płci wierzch ciała jest metalicznie turkusowoniebieski, a spód pomarańczowy, w słońcu ptak mieni się i sprawia wrażenie egzotycznego przybysza. Zimorodek kopie nory w skarpach nad wodami. Na ryby poluje, rzucając się w dół ze swoich czatowni nad wodą, którymi są wiszące gałęzie. Częściej można spotkać zimorodka jesienią i zimą. Odwiedza wtedy wszystkie potoki i rzeki Tatr. Ten szmaragdowoniebieski ptak stanowi piękny widok na tle zaśnieżonych brzegów.



Włochatka to ptak wielkości kosa, krępy, z nieproporcjonalnie dużą głową. Sowa ta nie ma charakterystycznych „uszu”. Głos godowy samca to regularnie powtarzane, niskie, trwające około dwóch sekund „upu-pu-pu-pu-pu-pu”. Obecność tej sowy na określonym terytorium jest związana z obfitością pokarmu, którym mogą być drobne ssaki, głównie nornice rude i norniki. Włochatka jest gatunkiem osiadłym, nomadycznym lub częściowo wędrownym.



Zdjęcia i opisy pochodzą z albumu wydawnictwa TPN „Ptaki Tatr i Podtatrza”, który jest efektem trzydziestoletnich obserwacji prowadzonych na tym terenie przez Włodzimierza Cichowskiego oraz grona fotografów przyrody. Ich celem było przybliżenie czytelnikom piękna Tatr i Podtatrza poprzez zobrazowanie ich skrzydlatych mieszkańców.

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróżowania. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Bułgarskie baby ugniatają i wałkują ciasto *kori* całymi dniami, po czym suszą na słońcu cienkie jak pergamin płyty. Do *banicy* dodaje się różne sezonowe rośliny, np. szczaw, szpinak, liście dzikiej marchwi czy mniszek lekarski. Podczas wszelakich świąt można się spotkać z *banicą* na słodko (*tikvenik*), przekładaną karmelem, dynią i orzechami z miodem (nieco podobną do tureckiej *baklavy*).



🕒 1 GODZINA 🍴 6 OSÓB

BANICA



przepis nadesłała:
Paulina Hinz

📦 SKŁADNIKI:

Ciasto *kori* (można zastąpić ciastem *filo*)
8–10 jajek
Szkłanka (+ 1 łyżka) oleju
300 g sera *sirene* (można zastąpić fetą)

👉 Jajka ubić, dodać szklankę oleju, wciąż ubijając. Okrągłą, płaską formę wysmarować łyżką oleju. Płaty ciasta smarować mieszanką oleju i jaj, posypywać serem i zawijać, a następnie układać w blaszce do ciasta w kształt ślimaka. Wstawić do pieca nagrzanego do 180°C na 30 minut.



POLSKIE PODRÓŻE PO ARABSKIE KONIE

Prawie czterysta lat temu król Zygmunt I otrzymał od sultana tureckiego rodowodowego wierzchowca z najstarszej na świecie rasy koni szlachetnych wywodzących się z Półwyspu Arabskiego. Był to prawdopodobnie prezent z okazji ślubu polskiego monarchy z przedstawicielką rodu Medyceuszy, księżniczką Boną Sforza, która miała piastować godność królowej Polski i wielkiej księżnej Litwy, Prus, Mazowsza i Rusi, z pretensjami do królestwa Jerozolimy. W Europie zaczęło się wtedy rodzić zainteresowanie hodowlą koni orientalnych, zwłaszcza pustynnych arabów.

Kuheilan i Salawi – takie imiona nosiły najbardziej ulubione spośród pięciu klaczy Mahometa. Były najpiękniejsze, najszybsze i bezgranicznie mu posłuszne. Gotowe na jego życzenie odejść przed nasyceniem pragnienia od pustynnego wodopoju. Prorok nakazywał swoim wyznawcom, aby szanowali i rozmnażali beduińskie rumaki, towarzyszące Arabom od 2500 lat. Na nich właśnie wyznawcy islamu wyruszyli w połowie VII wieku na podbój Bliskiego Wschodu, Syrii, Mezopotamii, Kaukazu, Egiptu, Libii, Tunezji, Algierii i Maroka oraz Półwyspu Iberyjskiego. Gdy ziemie arabskie przeszły pod panowanie państwa osmańskiego, te wierzchowce stały się ulubionymi końmi osmańskich padyszachów.

Polacy zetknęli się z nimi w XV w. pod Warną. Potem na stepach nad Dniestrem i Prutem, na Wołoszczyźnie oraz w Mołdawii, będącej lennem Turcji. Jazda turecka tocząca wojny na arabskich ogierach dotarła w końcu tego stulecia do Sano-ka, Łańcuta i Przemysła. W czasie jej odwrotu nieco wierzchowców osmańskiej kawalerii wpadło w polskie ręce. Zasiłki stada naszych magnatów kresowych, ulepszających rasę swoich koni. Klaczy Turcy nie zabierali na wojnę. A na nich polskim hodowcom najbardziej zależało. Marzyło im się uzyskanie własnych czystej krwi arabów.

Kiedy Knyszyn był letnią stolicą Polski i Litwy

Bona Sforza знаła miłość Polaków do koni. Na swą koronację w Krakowie w 1518 roku zabrała 20 rodowodowych koni ras neapolitańskiej oraz hiszpańskiej, mających wyraźną domieszkę krwi orientalnej. Zasiłki one stada, których Zygmunt I miał kilka w województwach przemyskim, chełmskim i hrubieszowskim. Dzięki temu jego syn Zygmunt II August mógł założyć w Knyszynie na Podlasiu największą w XVI stuleciu hodowlę koni w Królestwie Polskim i Wielkim Księstwie Litewskim.

Próbował kryć w niej swoje klacze dzikimi końmi litewskimi i żmudzkimi, a także rodowitymi arabami. W pobliżu Puszczy Knyszyńskiej wznosił letni dwór, a w jego pobliżu wielkie stajnie. Z niego doglądał stadniny, którą starał się ciągle poszerzać. Jak głosiła mocno chyba przesadzona legenda, przed jego śmiercią w 1572 roku stada liczyły ponad 3 000 koni. Nie wiadomo, ile zdołał wyhodować arabów czystej krwi.

To, że w Knyszynie „pilnowano rodów arabskich”, poświadczyl w 1570 r. królewski koniuszy Adam Miciński, zaznaczając, że nie wszystkie uśiłowania króla się powiodły. Jego opis hodowli, opatrzony rejestrami koni rodowodowych, który nosił dziwnie dziś brzmiący tytuł „Świerzopy i ogry”, nie dotrwał do naszych czasów.

Znamy tylko fragmenty z przytoczeń w pracach autorów z początków XIX w. oraz z późniejszej Encyklopedii Orgelbranda.

Błyskawica ratuje niewydarzonego króla

Po śmierci Zygmunta Augusta w 1572 r. jego stadnina uległa rozproszaniu. Wiele rodowodowych koni trafiło do hodowli Kanclerza Wielkiego Koronnego Jana Zamoyskiego. Jednego z nich, arabską klacz o imieniu Błyskawica, miał podarować pierwszemu elekcyjnemu królowi polskiemu, Henrykowi Walezemu. Podobno na niej Walezy pod osłoną nocy uciekł z Krakowa do Francji na wieść o śmierci swego starszego brata Karola IX.

Część stada ostatniego z Jagiellonów zakupił magnacki ród Chodkiewiczów. Nie jest wykluczone, że w parcelacji stadniny uczestniczył książę Ludwik Wirtemberski, który w 1573 r. przekształcił dynastyczną hodowlę tego monarszego rodu w instytucję państwową, dzięki czemu stała się jedną z największych w Europie. Istnieje ona do dziś w Mahrbach nad jednym z dopływów Renu.

Fatalne stulecie

Wojny Stefana Batorego z Rosją u schyłku XVI stulecia, wojna ze Szwecją w Inflantach na początku XVII w., wyprawa polska na Moskwę za czasów Zygmunta III Wazy, bunty kozackie, powstanie Chmielnickiego, potop szwedzki, rokossze, wyprawy Turków na Podole, odsiecz wiedeńska – zdzięsiatkowały polskie stadniny. Ciężkozbrojna husaria, nowy

Juliusz Kossak. Lisowczyk.





Juliusz Kossak. Husarze pancerni.

rodzaj kawalerii, potrzebowała mocnych koni, a lekka jazda, używająca oprócz szabel i pałaszów także muszkietów i pistoletów, wymagała szybszych i lżejszych dzianetów.

To na nich dokonywali swoich błyskawicznych rajdów sięgających od Morza Białego aż po Ren słynni lisowczycy, którzy z formacji lekkiej jazdy polskiej przekształcili się w łupieskie wojsko najemne sięjące postrach w wielu krajach. Bano się ich i podziwiano. Obraz lisowczyka na koniu, namalowany przez Rembrandta, zdobi jedną z kolekcji malarskich w Nowym Jorku.

Araby wracają do łask

Dopiero w II połowie XVIII w. polscy magnaci przypominają sobie o rasowych koniach arabskich. Pojawiają się wówczas w Konstantynopolu agenci badający możliwość ich zakupu. Stało się to, gdy Numan-bej, ostatni przed rozbiorami poseł turecki w Polsce, ofiarował królowi Stanisławowi Augustowi araba czystej krwi. W 1778 r. pojawił się w stolicy Turcji Aleksander Borzęcki, marszałek dworu księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego, który z Turcji sprowadzał nie tylko konie, ale i wielbłądy.

Ten sam książe w 1783 r. wyprawił do Stambułu chorążego husarii litewskiej Jerzego Sorokę, który udał się na słynny koński At-bazar, gdzie przekonał się, że „giaurom chyba tylko w ostatniej potrzebie Turczyn konia przeda”. Za odpowiedni bakszys jasakczy – strażnik bazaru – zgodził się wreszcie wskazać mu najlepsze konie, które kupił na swoje imię. „I tak zebrał ich dwadzieścia pięć”. Niestety następnego ranka ten sam strażnik nasał na chorążego policję. Dozwolono mu wywieźć tylko pięć wierzchowców.

Więcej szczęścia miał jeden z uczestników oficjalnego poselstwa do Stambułu, kierowanego przez Piotra Potockiego,

który z Turcji przyprowadził „sześć ogierów arabskich turkomańskich, przepysznejszej piękności”. Informacje o tym znalazłem w książce prof. Jana Reychmana „Życie polskie w Stambule w XVIII wieku”.

Inni właściciele wielkich stadnin też zaczęli słać koniuzszych do Turcji po czystej krwi araby.

Franciszek Ksawery Branicki – pułkownik Maszkewicz (1784 r.), Stanisław Szczęśny Potocki, zwany „małym królem na Rusi” – swego zaufanego Obołyńskiego, który wyekspediował dla niego dwa transporty liczące 60 koni, a Hieronim Sanguszko, wojewoda wołyński – dworzanina Kajetana Byrskiego. Ten ostatni pisał w liście wysłanym do wojewody w lipcu 1803 r., że nie znalazł w Stambule rasowych koni i dlatego odważył się „puścić w Arabie do Alepu” (czyli Aleppo w dzisiejszej Syrii). Usprawiedliwiał przy tym podróż, która choć daleka, nie będzie próżna, „gdyż wszyscy tu się zgadzają, że tam będzie można dostać koni”. Rzeczywiście, sprowadził do Polski sześć ogierów arabskich i jedną klacz zakupioną u beduinów.

Pierwszy Polak w Hidżazie

Te pionierskie wyprawy stały się bodźcem do następnych, wśród których szczególną fantazją odznaczała się podróż Wacława Rzewuskiego do Arabii (1817–20), zwanej wówczas Hidżazem. Przejechał wtedy konno Pustynię Syryjską i szlakiem karawanowym dotarł do zamkniętej dla gjaurów Mekki. Jego eskapadę, w czasie której przyswoił miejscowe obyczaje i został przyjęty do 13 beduińskich plemion (władął językiem arabskim, cytował z pamięci Koran, nosił burnus), dofinansowała królowa wirtemberska, siostra cara Aleksandra I, dla której miał sprowadzić z najlepszych hodowli beduińskich znaczną liczbę arabsów. Literackim plonem tej podróży było dzieło „Sur les chevaux et provenants des races orientales”, ozdobione jego rysunkami koni arabskich, którego rękopis przechowuje Biblioteka Narodowa w Warszawie.

Potomstwo zakupionych przez Rzewuskiego koni cenione jest do dziś w najlepszych stadninach świata. Dwórcarski kupił dwa znamienite ogiery noszące imiona Turisan i Alabadziak. Reszta

przywiezionych przez Rzewuskiego arabsów zasilła hodowlę polskie, ukraińskie i niemieckie. Jednego z nich, z którym się najbardziej zaprzyjaźnił, polski emir Tadż al-Fahr (tak tytułowali go synowie pustyni) zachował dla siebie. Na nim walczył w powstaniu listopadowym, pod koniec którego zmarł od ran odniesionych w bitwie pod Daszowem. Juliusz Słowacki opisał jego konia w „Dumie o emirze Rzewuskim”.

Słowacki zetknął się z arabami podczas podróży na Bliski Wschód w 1836, ale wolał przemieszczać się po Egipcie, Palestynie i Syrii na wielbłądach. Nigdzie się bowiem nie śpieszył, a „okręt pustyni” wydał mu się wygodniejszy. Z jego grzbietu roztaczały się przed jeźdźcem szersze widoki.

Nowa ojczyzna arabsów

Na kresach prosperowało wtedy już kilka wielkich magnackich hodowli, specjalizujących się w wychowywaniu czystej krwi arabsów. Ich rejestry zaczął prowadzić w 1803 r. w majątku Sanguszków dworski koniuzszy Kajetan Byrski. Od niego wiemy, że najurodzawszego ogiera, noszącego imię Perłowy, zatrzymał dla siebie książe Hieronim Rzewuski. W tym samym roku zaczął prowadzić księgę swojej stadniny Franciszek Ksawery Branicki, który notował skrupulatnie rodowód genetyczny wszystkich wyhodowanych przez siebie ogierów i klaczy. Może ktoś wierzyć lub nie, ale historycy odnotowali, że 107 koni z jego stadniny odkupił turecki sułtan Adoul Aziz, który panował w latach 1861–1876.

W zgoła niezwykłych okolicznościach jeden z ogierów, wywodzących się z hodowli Sanguszków, trafił na początku XX w. do Ameryki, czym otworzył polskim arabom drogę za ocean. Ale to już inna opowieść, jak mawiał Kipling, autor słynnej „Księgi dżungli”. Zwłaszcza że ma ona podkład myśliwski. Przedstawię ją w następnym felietonie. ◉

Ryszard Badowski

Dziennikarz, podróżnik, operator filmowy, fotograf, pisarz, autor programu telewizyjnego „Klub sześciu kontynentów”. Pierwszy Polak, który dotarł na wszystkie kontynenty. Autor ponad 100 filmów i kilkuset artykułów o tematyce podróżniczej oraz 16 książek. Z miesięcznikiem *Poznaj Świat* jest związany od 59 lat.

ŚWIATŁA BIWAKU


kolba

Dużymi krokami zbliża się okres urlopowy. Wiele wybierze odpoczynek z dala od światel miejskich latarni. W takim przypadku latarka, która oświetli nie tylko wnętrze namiotu, ale i całe obozowisko, będzie podstawą wyposażenia.

Klasyczne lampy obozowe często mają znaczne gabaryty, co od razu wyklucza je ze względu na ograniczone miejsce w plecaku. Rozwiązaniem tego problemu jest kompaktowa latarka obozowa Fenix CL20. To bardzo małe urządzenie – na tyle niewielkie, aby spokojnie zmieścić je w najmniejszej kieszeni większości plecaków turystycznych. Ta latarka jest tak mała, że mieści się

w obrysie dłoni dorosłego mężczyzny. Ma 78 mm długości, 45 mm szerokości oraz 59 mm wysokości, a bez baterii waży zaledwie 103 gramy. Docenią to szczególnie te osoby, którym zależy na jak najmniejszej wadze plecaka.

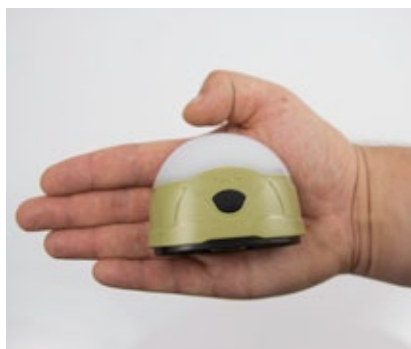
Podstawowe światło latarki Fenix CL20 w kolorze białym pozwala na oświetlenie obszaru w zasięgu 10 metrów. Dzięki wbu-

dowanemu dyfuzorowi światło to jest miękkie i równomiernie rozlewa się po leśnej polanie. Latarka ma 4 tryby świecenia światłem białym. W najwyższym trybie turbo CL20 świeci z mocą 165 lumenów. Czas pracy w tym przypadku wynosi dwie i pół godziny. W najniższym trybie pracy latarka działa około 72 godzin, z mocą 8 lumenów. Wartości te mogą ulec zmianie w zależności od zastosowanych baterii lub akumulatorów.





Dodatkową zaletą latarki obozowej jest tryb S.O.S. W razie konieczności z łatwością zasygnalizujemy służbom ratowniczym miejsce, w którym się znaleźliśmy. Tryb świecenia w kolorze czerwonym pozwala na zachowanie dyskrecji, gdy nie chcemy budzić



współtowarzyszy w namiocie. Czerwone światło jest także dużą zaletą dla wędkarzy i myśliwych. Czerwona barwa światła nieznacznie wpływa na zwężenie się źrenicy oka, dzięki czemu szybciej przyzwyczajają się ono do zupełnej ciemności.

Na uwagę zasługuje rozbudowane gniazdo baterii, które pozwala na zastosowanie ogniw w rozmiarze AA (akumulatory Ni-MH/baterie alkaliczne) lub litowych baterii CR123. To proste rozwiązanie sprawia, że dysponujemy większą swobodą w doborze zasilania. Płaska podstawa pozwala na ustawienie latarki na każdej powierzchni, a niska i zwarta obudowa skutecznie zapobiega przypadkowemu przewróceniu



waga **57 gram**

ilość trybów pracy **4**

odporna na mróz do **-40°C**

wodoodporność wg. **standard IPX8**

FENIX HL50

STAWI CZOŁA GÓRSKIM ŻYWIŁOM



typ zasilania: CR123
czas pracy: 150 h
moc: 365 lumenów



typ zasilania: AA
czas pracy: 110 h
moc: 285 lumenów

Szukaj w dobrych sklepach outdoorowych lub sprawdź teraz na fenix.pl



PPHU KOLBA Łukasz Matuszczyk
ul. Limanowskiego 65, 42-506 Bedzín; e-mail: sklep@fenix.pl
tel: +48 32 265 22 00; kom: +48 518 836 553

R E K L A M A

się. W podstawie lampki jest „metalowe oczko”, które ułatwi nam zaczepienie jej w namiocie i da namiastkę lampy sufitowej, która doskonale rozświetli całe wnętrze.



Latarka ma wbudowany magnes, co pozwala na przyłączenie jej do każdej metalowej powierzchni w dowolnej pozy-

cji. Wyobraźmy sobie awarię samochodu: otwieramy maskę silnika, przyczepiamy latarkę na jej spodzie i dokonujemy niezbędnych napraw. Latarka spełnia wymogi standardu IPX6 / OB3 wodoszczelności, co oznacza całkowite zabezpieczenie przed strumieniem wody płynącej z różnych kierunków z wydajnością do 100 litrów na minutę. Nawet jeśli zapomnimy schować lampkę podczas największego deszczu, mamy pewność, że nic jej się nie stanie.

Podsumowując, latarka Fenix CL20 to uniwersalne źródło światła, które znajdzie zastosowanie na rodzinnym biwaku, na górskiej wyprawie ze znajomymi czy nawet w najbardziej odległych i wymagające zakątkach świata. Latarka ma dużą tolerancję na niską temperaturę, jest wodoodporna oraz cechuje się dużą wytrzymałością. Polecamy CL20 każdemu, kto wybiera się w podróż – zarówno tę małą, jak i największą w życiu.

Pamiętka z wyjazdu

Trekking, biwakowanie, wyprawy – każdy chce mieć pamiątkę w postaci zdjęć. Pamiętajmy więc, że oprócz zabrania odpowiedniego obuwia, odzieży i sprzętu należy też zadbać o sprzęt fotograficzny. Torby, plecaki, odpowiednie filtry i środki do czyszczenia są niezbędne, aby aparaty i obiektywy wróciły cało z wyjazdu.



Cena: ok. 400 zł
www.thule.pl

W GÓRY I DO MIASTA THULE STIR 20 L

Plecak ma pasek piersiowy oraz pas biodrowy. W mieście można je zdemontować (piersiowy) lub ukryć (biodrowy). Na pasie naramiennym znajduje się kieszeń z rozciągliwego materiału (na telefon i inne małe przedmioty). Plecak ma też punkt mocowania pętli na lampkę, elementy odblaskowe oraz wewnętrzną kieszeń. Pasy naramienne oraz panel tylny są wentylowane, co gwarantuje idealne odprowadzanie ciepła i wilgoci. W plecaku przewidziano miejsce na bukłak (sprzedawany oddzielnie) z otworem na rurkę, a także kieszenie boczne na dwie butelki wody.

Cena: 11 000 zł
www.gt bicycles.pl



NAWET DROGA DONIKAD MOŻE BYĆ CIEKAWA GT GRADE CARBON 105

Dla tych, którzy chcą się przesiąść z roweru górskiego na szosowy, oraz dla szosowców, którzy pragną zjechać czasem z twardego asfaltu na zakurzone ścieżki, firma GT ma serię Enduroad. Te wyjątkowe rowery szosowe oferują niepowtarzalną pozycję za kierownicą, dzięki której można poczuć się pewnie zarówno na asfaltowych szosach, jak i poza nimi. Na GT Grade możliwe są nawet całodniowe wycieczki szutrowymi drogami. Rower można objąć sakwami. Oprócz karbonowej występują także wersje zbudowane na ramie ze stopów aluminium.

PEŁNA KLATKA PENTAX K-1



Cena: ok. 8 700 zł
www.fotoPlus.pl

Pierwszy pełnoklatkowy model firmy Pentax ma matrycę o rozdzielczości 36 mln pikseli, 5-osiową stabilizację obrazu, wbudowany GPS, tryb Astro Tracker i podwójne gniazdo kart pamięci. Aparat oferuje najwyższą jakość obrazu w odpornej na warunki atmosferyczne obudowie. To dobry wybór dla wszystkich fotografujących podczas podróży i wypraw.

Cena: ok. 60 zł
www.hurt.com.pl



DLA BEZPIECZEŃSTWA EVERACTIVE FL-300 I TL-X2

To zestaw dwóch lamp rowerowych w wodoodpornej i wytrzymałej obudowie. W przedniej zastosowano diodę Cree XP-G2 dającą światło o mocy 300 lumenów. Można regulować rozproszenie wiązki (focus/zoom) oraz wybrać jeden z pięciu trybów pracy: 100%, 70%, 35%, migający i SOS. W tylnej TL-X2 są dwie czerwone diody o mocy 0,5 W każda. Przednia lampka jest zasilana trzema bateriami AAA/R03, a tylna – dwiema (baterie nie wchodzi w skład kompletu). Lampkę FL-300 można również zasilić akumulatorem litowo-jonowym (adapter dostępny osobno).

NA KAŻDĄ OKAZJĘ HOYA FUSION ANTISTATIC

Niezawodna seria filtrów Hoya FUSION ANTISTATIC umożliwiają bezpieczne fotografowanie w trudniejszych okolicznościach przyrody – na piaszczystej plaży czy w lekkim deszczu lub mgłę. Wszystko to dzięki wzmocnionej chemicznie, odpornej na uderzenia tafli szkła optycznego oraz antystatycznej powłoce, która tworzy nieprzepuszczalną barierę dla kropli wody, kurzu, pyłu i na której nie widać odcisków palców. Hoya FUSION ANTISTATIC występuje w trzech rodzajach: ochronnym, UV oraz polaryzacyjnym.



Cena: 65-290 zł
www.hoyafilter.pl

Cena: ok. 590 zł
www.x-kom.pl



UWIECZNIJ SPORTOWE ZMAGANIA REDLEAF



Cena: ok. 600 zł
www.redleaf.pl

To niezawodne rozwiązanie do nagrywania filmów w ekstremalnych warunkach. Wzmocniona, odporna na kurz i wodoszczelna obudowa umożliwi kręcenie filmów i robienie zdjęć do 30 metrów pod wodą. Dzięki obiektywowi o jakości Ultra HD i wysokiej czułości SJ5050+ OLED może nagrywać zawsze i wszędzie. Nowoczesny sensor i procesor umożliwiają rejestrowanie obrazu w jakości 4K. W komplecie z kamerą znajduje się pilot zdalnego sterowania oraz bogaty system mocowań, który pozwala zamontować kamerę w niemal dowolnym miejscu.

WYTRZYMAŁA LATARKA FENIX CL25R

Miękkie i przyjemne dla oka światło latarki Fenix CL25R o mocy 350 lumenów doskonale oświetli wnętrze każdego namiotu oraz teren w obrębie 25 metrów. Wbudowane gniazdo microUSB pozwala na naładowanie akumulatorów za pośrednictwem standardowej ładowarki telefonicznej, gniazda USB w laptopie, a nawet za pomocą zapalniczki samochodowej. O poziome naładowania latarki powiadamia zielone bądź czerwone podświetlenie wyłącznika. Jej maksymalny czas pracy wynosi 600 godzin. Latarka przystosowana jest do pracy w temperaturze do -40°C i ma standard wodoodporności IPX-6.



Cena: 270 zł
www.fenix.pl

DWIE PASJE. JEDEN PLECAK LOWEPRO PHOTO SPORT BP 300 AW II

Plecak perfekcyjnie zabezpiecza sprzęt fotograficzny w specjalnie skonstruowanej komorze UltraCinch z wygodnym paskiem ściągającym i możliwością bocznego dostępu. Ma również miejsce na wszystkie niezbędne akcesoria podróżnicze w przestronnej komorze z górnym dostępem. Wyjątkowo lekki, wykonany z wodoodpornych materiałów, z wbudowanym pokrowcem All Weather Cover, będzie idealnym towarzyszem podróży, niezależnie od warunków atmosferycznych.

DLA LEPSZYCH ZDJĘĆ AKCESORIA OLYMPUSA TG-4



Cena: ok. 170 zł
www.olympus.pl

Właściciele aparatu Olympus TOUGH TG-4 mogą poprawić jego imponujące możliwości dzięki nowemu dyfuzorowi światła oraz instalacji oprogramowania 2.0. FD-1 równomiernie oświetli obiekty na zdjęciach w trybie makro, ułatwi uchwycenie przemieszczających się obiektów oraz przyda się do uzyskania „błysku w oku” przy zdjęciach portretowych. Nowe oprogramowanie usprawnia korzystanie z trybów P, A oraz mikroskopowego. Ważną zmianą jest zwiększenie liczby klatek przy wykorzystaniu trybu Time Lapse.

WYGODA W SUPERCENIE QUECHUA HELIUM

W dużym skrócie można o nich napisać, że są przeznaczone na: całonocne wędrówki górskie w bezdeszczowe dni, po łatwych szlakach, do regularnego użytku. Dzięki systemowi Evofit Twój but idealnie dostosowuje się do kształtu stopy i optymalnie ją trzyma. Przymierz, a już się z nimi nie rozstaniesz!



Cena: ok. 250 zł
www.decathlon.pl

BŁYSKAWICZNY QUECHUA 2 SECENDS 2

To nowy namiot skonstruowany w systemie 2 Seconds umożliwiającym bardzo szybkie rozkładanie i składanie. Technologia Fresh and Black zapewnia przyjemny chłód i zaciemnienie wewnątrz. Po prawidłowym rozstawieniu jest niezwykle stabilny i odporny na silne poddmuchy wiatru (nawet do 50 km/h). Wszystkie szwy uszczelnione zostały taśmami klejonymi na gorąco, a namiot przeszedł test wodoodporności – 200 litrów wody/godz./m² (200 mm/godz.) przez 4 godziny.

Cena:
ok. 400 zł (3-osobowy),
ok. 350 zł (2-osobowy)
www.decathlon.pl





Cena: ok. 420 zł (30 l),
ok. 340 zł (20 l)
www.foto7.com.pl

NA PODRÓŻ I TREKKING MANFROTTO HIKER

Plecaki serii Offroad zostały stworzone dla fotografów, którzy lubią piesze wycieczki i oczekują szybkiego dostępu do aparatu. Zabezpieczenie w postaci wewnętrznego futerału, z możliwością jego wyjęcia, w pełni chroni aparat i obiektyw przed niesprzyjającymi czynnikami. Futerał pomieści lustrzanke z obiektywem oraz dodatkowe „szkło”. Plecak może służyć również jako turystyczny – poprzez usunięcie futerału oraz rozpięcie środkowej przegrody uzyskamy wewnątrz dużo przestrzeni. Dodatkowy pas piersiowy przy szelkach służy do wygodnego transportowania aparatu bez obciążenia szyi. Plecak dostarczany jest z futerałem przeciwdeszczowym w komplecie.

Cena: ok. 350-600 zł
www.thenorthface.eu



PO PROSTU KLASYKA THE NORTH FACE BASE CAMP DUFFEL OG

To słynna torba marki The North Face, która już od 30 lat towarzyszy podróżnikom w ich wyprawach w najdalsze zakątki świata. Tegoroczna, jubileuszowa edycja została udoskonalona tak, by zapewnić jeszcze większy komfort użytkowania. Nowa, zapinana na zamek kieszeń boczna pozwala na oddzielenie mokrych ubrań, brudnych butów czy dodatkowego wyposażenia, a dodatkowa kieszeń z siateczki pomaga w utrzymaniu porządku. Jak zawsze Base Camp Duffel jest niezwykle wytrzymały, dzięki czemu sprawdzi się podczas najtrudniejszych podróży w najcięższych warunkach atmosferycznych. MATERIAŁ: laminat 1000D phthalate-free TPE, 840D Jr. nylon balistyczny.

SUPERLEKKI NEVERLAND SPHERE

Mniejszy ze śpiworów z kolekcji marki to model SPHERE. Waży zaledwie 550 g, a jego wymiary po skompresowaniu to 13x25 cm, co pozwoli zmieścić go nawet w niewielkiej sakwie czy małym plecaku. Jednocześnie zapewnia komfort termiczny i wygodny sen w namiocie od wiosny do jesieni, a zimą uprzyjemni pobyt w schronisku. Zastosowanie miękkiego, łatwego w czyszczeniu i odpornego na uszkodzenia poliestru podnosi walory użytkowe nowego produktu marki NEVERLAND. Śpiwory są łatwe w złożeniu, szybko i bez większego wysiłku dają się zapakować w pokrowiec. Wypełnienie stanowi włókno bawełniane (50 g/m²).



Cena: ok. 120 zł
www.facebook.com/neverlandsport



Cena: 540 zł
www.millet.fr

KOMFORT I WYGODA MILLET ROCKWAY

Podejściowe buty przeznaczone dla entuzjastów sportów górskich i wspinaczki doskonale poradzą sobie z różnorodnością terenu oraz zapewnią wygodę podczas długich wędrówek. Są wytrzymałe i wodoodporne. Przód zabezpieczony jest gumą chroniącą przed uszkodzeniem, a podeszwa Vibram tworzy twardą barierę pomiędzy stopami a ziemią. Podeszwa zapewnia też wysoką przyczepność i doskonałą trakcję, zarówno na suchej, jak i mokrej powierzchni. Millet opracował metodę Roc Fit™ w celu optymalizacji dynamicznego podejścia. Roc Fit™ zapewnia płynność ruchów, doskonałe wsparcie dla pięty oraz umożliwia precyzyjną pracę nóg na blokach skalnych.



Cena: ok. 40 zł (500 ml),
ok. 140 zł (1 l)
nikwax.com/pl-pl

OCHRONA PRZED UV NIKWAX TENT & GEAR SOLARPROOF

Impregnat w sprayu z ochroną przed promieniowaniem UV do stosowania na materiałach o właściwościach wodoodpornych, w tym namiotów, markiz, plecaków i futerałów na aparaty. Podtrzymuje właściwości wodoodporne sprzętu outdoorowego i chroni przed promieniami UV. Zastosowany jeden raz może podwoić żywotność sprzętu. Jest łatwy w użyciu.

ENERGIA NA WYCIĄgniĘCIE REKI ŁADOWARKI USB GP

Akumulatory mogą posłużyć jako źródło zasilania wszelkiego rodzaju urządzeń domowego użytku czy aparatów fotograficznych. Są znacznie bardziej wydajne niż baterie alkaliczne, a ponadto mogą być ładowane do 1 000 razy, dzięki czemu są ekonomicznym rozwiązaniem dla osób dbających o środowisko naturalne. Ładowniki USB GP pozwolą na sprawne naładowanie ich zarówno w domowym zaciszu, jak i w trasie. Są lekkie, kompaktowe i proste w użytkowaniu. Produkt można dobrać do indywidualnych potrzeb: z oferty GP można wybrać ładowarki przeznaczone do bezpiecznego, nocnego ładowania (model U411), a także takie, które pozwalają na szybkie – nawet 40-minutowe – naładowanie akumulatorów (model U421).



Cena:
U421 140 zł. U411 75 zł
pl.gpbatteries.com



FOT. EWA MEDZIŃSKA

ADIDAS TERREX AGRAVIC GTX

Bieganie to obecnie niezwykle popularna aktywność wśród Polaków. Wielu z nas bardziej lub mniej regularnie przemierza kilometry w okolicach miejsca zamieszkania. Jednak są i tacy, dla których bieganie musi odbywać się w terenie – czy to w parku, czy w lesie, czy w górach. Aby komfortowo, a przede wszystkim bezpiecznie przeprowadzić trening, należy przede wszystkim odpowiednio dobrać obuwie. Z pomocą przychodzi najnowszy model marki adidas – przeznaczony do biegów trailowych. To bardzo lekkie (340 g rozmiar 42,5), męskie buty ze zwracającą energię technologią boost™. System ten sprawia, że każdy krok staje się lekki i energiczny. Pianka boost™ to rewolucyjny materiał składający się z tysięcy mikrokapsulek (TPU) zapewniających świetną amor-

tyzację, co jest szczególnie ważne podczas zbiegania w trudnych warunkach. Dzięki zastosowaniu unikatowej technologii oddają więcej energii podczas każdego odbicia od podłoża. Ponadto pianka boost™ jest lżejsza i działa efektywniej niż inne pianki, co pozwoliło projektantom firmy adidas znacznie obniżyć środek ciężkości Terrex Agravic boost™ (to sprawia, że buty są bardziej stabilne). Cholewka z przewiewnej siateczki została uzbrojona w klejone, syntetyczne wstawki, które chronią wierzch przed rozdarciami. Buty sprawdzą się podczas intensywnych biegów trailowych w wykonaniu zaawansowanych biegaczy. Przypadną też do gustu początkującym fanom trailowego biegania podczas krótkich podbiegów czy nawet marszobiegów w terenie. Na mnie jako amatorze zrobiły bardzo pozytywne wrażenie. Agravic mają wodoszczelną i oddychającą membranę GORE-TEX®, która zapewnia dobrą cyrkulację powietrza i chroni

przed przemoknięciem. Dodatkowo umożliwia odprowadzanie potu i nadmiernej ilości ciepła. Tekstylna cholewka jest bardzo trwała oraz odporna na przetarcia dzięki zgrzewanym szwom. Język wykonany jest z cienkiej, lekkiej i wygodnej pianki EVA. Buty mają niezwykle przyczepną podeszwę zewnętrzną Rubber wykonaną z gumy opatentowanej przez Continental™ z wzorem inspirowanym oponami rowerów górskich. To unikalny bieżnik, który zapewnia świetną przyczepność na zróżnicowanym podłożu. Buty można też śmiało używać do codziennego chodzenia. Miałem okazję sprawdzić je na trasie zawodów MTB. Bez trudu pokonywałem strome podejścia pełne kamieni, korzeni, a chwilami luźnej ziemi. Czułem, że stopy są stabilne, a buty dobrze trzymają się nawet sypkiego podłoża.

Adidas Terrex Agravic GTX to z pewnością buty na najcięższe warunki, jednak mimo sportowego charakteru równie komfortowo czuć się w nich będziemy także na spacerze. Precyzyjne i komfortowe trzymanie stopy zauważy każdy użytkownik już po kilku minutach chodzenia. Mogę je więc z czystym sumieniem polecić osobom poszukującym wytrzymałego, wygodnego i niezwykle przyczepnego obuwia trailowego, w którym będą mogli przebiec górski maraton albo po prostu przejść się po parkowych ścieżkach.

Test: Grzegorz Medziński



Cena: ok. 650 zł
www.adidas.pl



FOT. EWA MEDZIŃSKA



FOT. EWA MEDZIŃSKA



PEDAŁY CRANK BROTHERS MALLET E ENDURO 2016

Crank Brothers to amerykański producent topowych komponentów MTB – jest jedną z najbardziej charakterystycznych i rozpoznawanych firm w branży. Genialna prostota i przemysłowa konstrukcja produktów okazała się na tyle skuteczna, że większość wybitnych wyścigowców wybiera właśnie Crank Brothers. Najważniejszą w każdym produkcie jest oryginalna zasada: proste jest piękne. Polski dystrybutor marki, czyli firma 7anna, ma już w ofercie na rok 2016 nową wersję popularnego modelu pedałów Mallet. Wersja E przeznaczona będzie dla miłośników enduro, którzy preferują jazdę w butach zatraskowych. A ponieważ chcemy pokazywać przede wszystkim rowery do kolarskiego enduro, to nie mogło w testach zabraknąć tej



propozycji amerykańskiej marki. Poligonem doświadczalnym były Beskidy i... Filipiny (miałem okazję być tam na Akademickich Mistrzostwach Świata w Kolarstwie).

Pedały Crank Brothers Mallet E cechują się wyprofilowaną platformą i sześcioma pinami po każdej stronie w celu zapewnienia lepszej przyczepności i idealnego czucia roweru. Wklęsła platforma dla lepszego oparcia oraz dodatkowy pad w celu większej styczności buta z pedałem to cechy nowego modelu Mallet E. Dzięki dodatkowym wycięciom CNC mamy gwarancję większego bezpieczeństwa przy ewentualnym wypięciu, a ścięte krawędzie zapobiegają haczeniu o kamienie podczas ostrych zjazdów. Tak jak w przypadku wszystkich modeli Cranka buty można wypięć z czterech stron nawet w największym błocie (również w tym beskidzkim, z kamieniami i gliną). Platforma została wykonana ze stopu aluminium 6061-T6, a skrzydełka zatraskowe ze stali nierdzewnej 17-4PH (sama sprężyna z serii 300). Łożyskowanie pedałów to zamknięty cartridge od zewnętrznej strony i łożysko igiełkowe. Oś jest odkuwana na zimno, a jako że wykonano ją ze stali cromo 435, jest po prostu nie do

zdarcia. Do każdego zestawu dodawane są bloki Premium wypinane pod kątem 15 i 20 stopni. Waga pedałów to jedyne 419 g, a gwarancja wynosi aż pięć lat. W ofercie 2016 występują dwa warianty kolorystyczne – czarny i niebieski. Użycie wysokiej jakości materiałów i precyzyjne wykonanie całości sprawiają, że to jedne z najlepszych pedałów na świecie.



Cena: ok. 620 zł
7anna.pl

Początek tego sezonu będzie dla nich prawdziwym testem na Enduro World Series i innych prestiżowych imprezach, na których zawodowcy będą sprawdzać ich wytrzymałość w najtrudniejszych warunkach. Sprawdziłem je pod względem precyzji i wygody działania i już wiem, że będę używał tylko i wyłącznie ich. Oczywiście dla niektórych decyzja zakupowa zależy będzie również od ceny, ale w tym przypadku inwestujecie na długi czas, więc moim zdaniem warto. Podsumowując – jeśli jesteś fanem enduro MTB, jeździsz w butach zatraskowych, nieważne, czy zaczynasz przygodę z górskimi trasami, czy od lat je przemierzasz – Crank Brothers Mallet E są właśnie dla Ciebie.

Test: Grzegorz Miedziński

BELL SUPER 2R

Jazda na rowerze po górskich szlakach staje się coraz bardziej popularna. Rozwój rowerów MTB w grupie enduro czy trails jest niezwykle dynamiczny i niesie za sobą zmiany w pozostałym asortymencie, czyli obuwiu, odzie-



FOT. KAROL DANILUK

ży, plecakach, ochraniaczach czy kaskach. Jedną z odpowiedzi na ten trend jest kask Bell Super 2R z technologią MIPS*. To jedyny dostępny na rynku kask z odpinaną „szczęką”, czyli częścią chroniącą brodę, a właściwie całą twarz. Model ten testowałem podczas objazdów tras zawodów „Enduro MTB Series by Kellys”, które organizuję w Karkonoszach i Bieszczadach w skrajnie różnych warunkach – śniegu z deszczem i pięknym słońcu. To świetny kask, choć mam drobne zastrzeżenia.

Kask przeznaczony jest do jazdy enduro, lecz nie tylko. Osoby lubiące lek-

ki freeride czy jeżdzące w bikeparkach także mogą go używać. Podobnie jak zwolennicy naturalnych lub sztucznych singletracków – bezpieczeństwa nigdy za wiele. Bell Super 2R to bardzo solidna konstrukcja, co widać i czuć po pierwszym przymierzeniu. Kask o dość niskiej wadze 775 g (rozmiar M) jest bardzo sztywny – bez względu na to, czy ma wpiętą szczękę, czy nie. Tylna część kasku została mocno przedłużona i bardzo dobrze osłania potylicę – z pewnością skuteczniej niż inne kaski dla fanów enduro (bez „szczęki”). Cała skorupa została wykonana metodą wtryskową w technologii In-Moldig, integrującą skorupę kasku z jej zewnętrzną powłoką, a tym samym zwiększającą sztywność oraz zmniejszającą wagę całej konstrukcji.

Przy jednym z wyjazdów świetna wentylacja była raczej moim wrogiem.

Mimo czapki przy temperaturze 3°C wychłodziłem organizm. Za to kolejny wypad w góry dał możliwość sprawdzenia efektywności działania 23 otworów wentylacyjnych w kasku i 6 w szczęce.

Gdy zbliżał się długi podjazd, na chwilę się zatrzymałem i odpiąłem szczękę. System mocowania szczęki do skorupy kasku przypomina zaciski butów narciarskich (dwie klamry po bokach i jedna z tyłu). Dzięki takiemu rozwiązaniu całkowicie demon-

taż ochraniać nie zajmie więcej niż kilkanaście sekund (oczywiście po przećwiczeniu kilka razy tej czynności). Szczękę można zapinać i odpinać bez konieczności ściągania kasku – to bardzo wygodne rozwiązanie. Daszek również można zdemontować, a dzięki sporemu zakresowi ruchu bez problemu zmieszczą się pod nim gogle. Ciekawym dodatkiem jest także uniwersalny uchwyt dla kamer sportowych, który podobnie jak inne elementy kasku można łatwo i szybko zdemontować.

W końcu muszę wskazać jeden mankament. Na wysokości skroni, ciut nad uszami, wewnątrz kasku są przyklejone piankowe wkładki. Utrudniają one jazdę w okularach i stwarzają dyskomfort przy dłuższej jeździe z bandaną czy cienką czapką.

Jednak dla usprawiedliwienia musiały być one dodane, gdyż europejskie normy bezpieczeństwa wymagają większej grubości w tym miejscu w tego typu kasku.

To rewelacyjny kask dla fanów długich wyjazdów w góry. Świetna wentylacja, solidność wykonania i możliwość odpięcia szczęki w każdej chwili to jego największe walory. Gdyby jeszcze był nieco tańszy... Ale za uniwersalność, wygodę, a przede wszystkim bezpieczeństwo trzeba zapłacić.

Test: Grzegorz Miedziński



Cena: 929 zł
www.bikegear.cc



FOT. KAROL DANILUK

***Technologia MIPS** – na system składają się trzy części: wewnętrzna wykładzina z pianki, wkładka o niskim współczynniku tarcia oraz specjalny elastyczny zaczep pomiędzy nimi. Podczas uderzenia elastyczny łącznik napina się, dzięki czemu wkładka obraca się wokół głowy i pochłania energię. Choć obraca się tylko o kilka milimetrów, testy Giro pokazały, że potrafi zniwelować bardzo dużą energię działającą na mózg podczas mocnego uderzenia.

Gdzie dwóch się bije

Przedwojenne warszawskie plaże były głównym miejscem wypoczynku mieszkańców stolicy. Warszawiacy chętnie spędzali czas nad Wisłą, organizowali liczne zabawy, potańcówki i zawody. Choć woda była zimna, śmiałków do pływania nie brakowało. Najśłynniejszymi przedwojennymi plażami były Poniałówka oraz Braci Kozłowskich na Saskiej Kępie. Miejsca te były prywatne, za wejście trzeba było płacić. Plaże były zaopatrzone w drewniane pawilony z przebieralniami oraz leżaki i szafki. Poniałówka, główny symbol „przedwojennego lata”, swoją nazwę wzięła od usytuowania blisko mostu Poniałowskiego. Zdjęcie przedstawia zapasy na plaży. Była to świetna okazja, aby panowie mogli napiąć muskuły i sprawdzić, kto jest „królem Poniałówki”. Walki przyciągały ogromną publiczność, a udział w zawodach był idealnym sposobem na zdobycie serca niejednej panny!



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE





PUSTKI W USTCE



TYBETAŃSKIE MISTERIA



JAK PIĘKNIE BYĆ SZKOTEM!

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej
Dariusz Małkowski
dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980

Sekretarz redakcji
Julia Michalczevska
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Marcin Dobas,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Magdalena Żelazowska

Grafika & DTP & Prepress
Maciej Jurkowski, Artur Bury

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

PROMEM NAD NORWESKIE FIORDY

-10% DLA
CZŁONKÓW
FJORD CLUB

ZOSTAŃ NASZYM KLUBOWICZEM I
KORZYSTAJ Z OFERT SPECJALNYCH.



HIRTSHALS – LANGESUND (OSLO)

OD EURO **11,-***

HIRTSHALS – KRISTIANSAND

OD EURO **26,-***

HIRTSHALS – STAVANGER/BERGEN

OD EURO **63,-***

STRÖMSTAD – SANDEFJORD

OD EURO **7,-***

* Cena za osobę w pakiecie 4 osoby + samochód (2m wys. / 5m dł.). Kabina do/ze Stavanger i Bergen w cenie rejsu.

Informacja & Rezerwacja:

Fjord Line Polska | Wichrowa 4/7 | 60-449 Poznań
Tel.: +48 61 622 78 85 | Fax: +48 61 848 98 96
E-mail: rezerwacje@fjordline.com

fjordline.com



Supported by:



on the basis of a decision
by the German Bundestag

Niemcy
Po prostu przyjazne



www.germany.travel

Zapierające dech w piersiach widoki! Doskonale oznakowane szlaki wędrownie o łącznej długości ponad 200.000 km, to raj dla miłośników aktywnego wypoczynku. Czy przez idylliczne lasy i rozległe parki narodowe, czy przez bajkowe, górskie krajobrazy – tu każdy znajdzie własną ścieżkę.

Do zobaczenia na szlaku: www.germany.travel/enjoy

_inna perspektywa